

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 19 maja 1946 r.

Nr 20 (77)

ANATOL LISTOWSKI

o nauce i uczonych

Jakie są cele i zadania nauki? Odpowiedź wydaje się prosta i jednoznaczna, ale mimo to pytanie to jest istotne. Czego człowiek szuka, kiedy się zwraca do nauki? Po pierwsze wiadomości, ale nie jakich bądź, lecz uporządkowanych. Po drugie — człowiek chce zaspokoić swoją ciekawość. Interesuje się tym lub owym, nawet jeśli mu to nie jest praktycznie potrzebne. Częsty jest sposób ujmowania nauki jako zbioru ciekawostek. Artykuły z dziedziny nauki zawsze zajmują pewien kącik w modnych magazynach, obok działu sportowego, podróżniczego, mody itd. W pierwszym wypadku stosunek człowieka do nauki jest poważny, ale wyłącznie utylitarny, w drugim nieutylny, ale też niepoważny.

Jest jeszcze i stosunek trzeci — nieutylny i poważny. Człowiek szuka w nauce odpowiedzi na wiele niepokojących go pytań o siebie samym, o świecie, o życiu. Chciałby wiedzieć, jaki jest głębszy sens wszystkiego, co dzieje się dokoła nas i w nas samych. Nauka nabiera tu sensu wyłącznie poznawczego — tworzywa dla zbudowania światopoglądu. Rozróżnić też można naukę-narzędzie i naukę-wiedzę.

Człowiek może chcieć poznać świat, aby go ujarzmić, poddać sobie i następnie wykorzystać. Ze olbrzymie zdobycze nauki w dziedzinie opanowania świata nie zawsze wykorzystywane bywają dla dobra ludzkości, to wiemy wszyscy i z własnego doświadczenia. Nie jest to wina nauki, ale wina człowieka. Krok w nauce i technice przerasta po wielokroć rozwój moralności ludzkiej tak indywidualnej jak zbiorowej. Nauka jest dziś potężnym narzędziem — i wszystko wskazuje na to, że będzie wciąż potężniejszym.

Budowa nauki-narzędzia choćby najpotężniejszego, choćby dającego ludzkości wizję raj utraconego, nie wyczerpuje zadań i celów nauki. Zadaniem nie może być tylko poszukiwanie siły, a nawet szczęścia, lecz również poszukiwanie prawdy.

Prawda absolutna może być granicą, do której zdążają prawdy naukowe, nie osiagając jej zresztą. Prawdy naukowe są tylko najlepszymi przybliżeniami; możliwymi w danej chwili do osiągnięcia. Takie postawienie sprawy nie umniejsza ani wielkości nauki, ani jej wartości jako wiedzy o świecie i nas samych, coraz lepiej poznawanych.

2

Nauka na całym świecie jest dzisiaj modna i ceniona bardziej niż w okresie pozytywizmu. Cenione są szczególnie niektóre jej działy — ale splendor dzięki temu spływa na całą naukę i jej pozycję w świecie. Rządy i parlamenty, sztaby i ciury, politycy i bezpartyjni obywatele, mieszcuchy i lekkoduchy, wiedzą, że nauka wiele może. Że wkracza ona i wkraczać może we wszystkie dziedziny życia coraz głębiej.

Sprawiła to w dużej mierze ostatnia wojna. Znaczna jej część bowiem rozgrywała się, choć może dziwne się to wyda, nie tyle na polach bitwy, co w ciszy laboratoriów. Anglosasi przegrywali długo i cierpliwie, ale ostatecznie ich laboratoria wygrały kilka bitew, które okazały się bardzo doniosłymi. Wartość nauki w społeczeństwie nie może jednak polegać głównie na jej znaczeniu przy wzajemnym wymordowywaniu się ludzi.

Nauka, usiłująca uwolnić człowieka od nędzy, głodu i strachu, ma również swoją cenę i równie wielkie możliwości. Wkład nauki w wojnę jest bardzo kosztowny, równie kosztowny jak sama wojna. Na wydatki, jakich wymagało wynalezienie bomby atomowej, mogą sobie pozwolić jedynie państwa duże i bogate. A tych, jak wiadomo, jest niewiele, bo tylko trzy. Jeśli chodzi o naukę w służbie pokoju, to uprawianie jej jest możliwe przez wszystkie narody. Nie tylko możliwe, ale konieczne. Niewątpliwie nauka pracująca w służbie pokoju, może wiele zrobić dla szczęścia ludzkości. Do tego jednak potrzebny jest jeden zasadniczy warunek: aby pokój był prawdziwy i długotrwały. Nikt nie wątpli, że takie jest pragnienie całej ludzkości. Ale jednocześnie dysproporcje w świecie są wielkie. Nadwątlenie poczucia równowagi cechuje dzisiaj nie tylko jednostki ale i całe społeczeństwa, a stan ten wymaga terapii specjalnej i długotrwałej.

Nauka niewątpliwie stanowi jeden z zasadniczych czynników kultury, ogólnej. I dlatego

wyduje się, że traktowanie jej li tylko jako dawczyni siły czy dobrobytu, ma tę niebezpieczną stronę, że obniża jej ogólnoludzkie wartości. Jest rzeczą niezbędną, aby uczeni nie byli wyłącznie kapłanami nauki-narzędzia, ale również w pełnym tego słowa znaczeniu humanistami.

3

Rozwój nauki badawczej jak i udzielanie jej innym, o ile ma się odbywać na właściwym poziomie, wymaga odpowiednio wyposażonych warsztatów pracy i ludzi.

Nauczanie na poziomie akademickim związane jest z uczelniami akademickiego typu. Do niedawna wyższe uczelnie były też jedynymi ośrodkami pracy badawczej. Nie tak dawno dopiero zaczęto obok uniwersytetów tworzyć specjalne instytuty. Instytuty, nie obciążone zadaniami dydaktycznymi, poświęcone były wyłącznie pracy naukowej. W krajach anglosaskich i ZSRR tendencja tworzenia instytutów zaznaczyła się najwyraźniej.

Nie ulega wątpliwości, że instytuty mają swoje dobre strony. W jednym z bundynków uniwersytetu w Krakowie był stary woźny, który robił klatki na kanarki. Klatki były często bardzo precyzyjnie wykonane i ozdobne — czasami zaś całkiem prymitywnie — „ba — mawiał wtedy staruszek — takie piękne klatki by się robiło, gdyby nie to, że studenci przeszkadzają”. W instytutach studenci nie przeszkadzają. Ale to właśnie ma też swoje złe strony.

Instytuty nasuwają nam pewne pytania. Instytutów nasuwają niektóre osoby tak, że głoszone nawet zmierzchnie uniwersytetów. A ponieważ pesymiści przeważnie nie mają racji, więc przypuszczają należy, że w przyszłości zarówno instytuty jak i uniwersytety będą ogniskami pracy badawczej. Na pytanie, co lepsze, uniwersytety czy samodzielne instytuty, nie ma jednej racjonalnej odpowiedzi.

Odpowiedzi rozsądne mogą więc być dwie: ani jedno, ani drugie, a jednocześnie i jedno i drugie. Szczególnie w naszych warunkach nie wydaje się, abyśmy mieli inflację instytutów zupełnie samodzielnych. Nie mamy na to ani środków, ani ludzi. Tak samo wątpliwe

jest, czy stać nas na wyposażenie w sposób dostateczny wszystkich zakładów uniwersyteckich. Może być, że nie narodzona jeszcze Rada Naukowa, która by przejęła na siebie wszystkie zadania związane z organizacją pracy badawczej w Polsce, uzna potrzebę pewnej selekcji, na której podstawie pewne zakłady rozbudują się w instytuty, nie przestając być zakładami uniwersyteckimi, a inne ograniczą swoją działalność przede wszystkim do ram dydaktycznych.

4

Po ustąpieniu okupanta wyższe uczelnie nasze odbudowują się jak mogą. Powstały poza tym nowe. Fakt ten należy uważać za korzystny.

Kadry specjalistów bardzo u nas wskutek wojny zmalały. Natomiast postępująca specjalizacja sprawia, że zapotrzebowanie na fachowców jest coraz większe. Najbliższe lata, w miarę postępującej normalizacji i odbudowy, będą u nas potrzebowały coraz większej ilości sił wykwalifikowanych.

Garnięcie się młodzieży do studiów wyższych jest bardzo duże, wszystkie uczelnie są dzisiaj przepełnione. Nie tylko zresztą u nas; w Pradze jest 20 tys. studentów, a wielu profesorów wykładają przez megafony. To garnięcie się młodzieży do studiów jest zjawiskiem bardzo dodatnim. Zbiednienie społeczeństwa, szczególnie tych warstw, które dostarczają największego kontyngentu młodzieży, sprawia, że o ile by uczelnie wyższe rozszerzone były zbyt rzadko w terenie, część młodzieży nie mogłaby studiować. Jest w naszym interesie, aby studia udostępnić jak największej ilości młodzieży, ale naturalnie też, aby mogły być one postawione na odpowiednim poziomie. Łatwiej jest uznać bezsporność takiego postulatu, niż go wypełnić.

Nawet na najmniej zniszczonym Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie rzeczywistość odbiega nierzadko znacznie od tego, co skłonni bylibyśmy uważać za konieczne minimum. Aby nie być gołosłownym, podam choćby jeden przykład. Niemcy, przerabiając główny budynek Wydziału Rolniczego U. J. na biura, usunęli całą instalację gazową. Do dzisiaj

oba zakłady chemiczne tego wydziału pozbawione są gazu i częściowo wody. A jeden z najwybitniejszych naszych chemików prof. Miłobędzki prowadzi z pogodą i optymizmem ćwiczenia ze studentami w warunkach, które może nawet poprzednik Liebiga uznałby za nieco przestarzałe...

Brak kredytów sprawia, że należy wątpić, czy sytuacja może ulec szybko radykalnej zmianie. Zresztą nie mówi się o tym, aby kogoś winić. Po prostu potrzeby naszego zniszczonego kraju są tak olbrzymie, że trudno znaleźć rządowi pieniądze na wszystko co najkonieczniejsze.

Przyjemny jest fakt, że mimo wszystko przeciętny poziom studentów nie jest zły. — Młodzież chce się uczyć, a wykładowcy chcą uczyć. Jedni i drudzy pilnością i zapałem okrzykają chleb codzienny, dzięki czemu wydaje się, że jest on mniej czarny niż w rzeczywistości.

5

Wyższe uczelnie są jednak warsztatami pracy badawczej — „przede wszystkim” — jak chcą jedni, „także” — jak mówią inni. Istotne jest, że są i muszą nimi być.

Nauka jest rzeczą kosztowną, niemniej nie stać nas na rezygnację z prowadzenia samodzielnych badań naukowych w miarę naszych sił i możliwości. Nauka jest zbyt ważnym składnikiem życia zbiorowego, aby rezygnacja z niej była możliwa. Społeczny aspekt nauki zaznacza się coraz wyraźniej. Społeczeństwo rozumie coraz bardziej celowość wydatków na naukę, a sami naukowcy coraz silniej czują się związani pracą swoją z życiem. Zdajemy sobie sprawę, że wiele zagadnień naszego kraju wymaga rozwiązania i może być rozwiązanych jedynie przy pomocy metod naukowych.

Jest też niemalże komunałem, że wyłącznie pragmatyczny stosunek do nauki nie jest słuszny. Trudno jest nieraz z góry powiedzieć, które prace naukowe są życiowo ważne, a które nie. Z najbardziej zdawałoby się błahych i nieużytecznych zabaw mędrców wyrosła nieraz z czasem groźna broń i doniosłe wynalazki. Sam fakt, że pewne rzeczy zostają naukowo sprawdzone, usprawiedliwia i uzasadnia wysiłki badawcze i naukowe.

6

W czasie wojny złożyło się tak, że pewna grupa t. zw. młodych (mimo że już dobrze na skroniach siwiejących) naukowców, spędziła pewien okres swego życia na „wilegiaturze” w Dachau. Poznali się tam ze sobą dobrze i żyli bardzo blisko. A potem na „wolności” spotykali się nadal ze sobą na częstych pogawędkach. Ponieważ grzebanie się we wspomnieniach jest zajęciem mało interesującym, więc spędzali czas na omawianiu przyszłości. Zajmowali się dużo zagadnieniami organizacji nauki, poczynając od spraw planowania naukowego, aż po wewnętrzną zdawałoby się drobną organizację pracy w poszczególnych zakładach. Doszli wówczas do wniosków zbliżonych do wielu z tych, jakie się dzisiaj wysuwają.

A dzisiaj dyskutuje się na te tematy dużo i nie zawsze racjonalnie. Niepotrzebnie wpłataje się w te zagadnienia sprawy wolności nauki. Wolność nauki jest atrybutem twórczej myśli i stanowi jedną z podstawowych zdobyczy humanizmu a więc i demokracji. Oznacza ona nie co innego, jak to, że ocena wyników naukowych nie podlega innym kryteriom jak naukowym. Że inne kryteria, np. religijne, nie mogą być miarodajne dla oceny naukowej prawidłowości lub nieprawidłowości danego poglądu. Nikogo zatem nie można ograniczać w badaniach naukowych jak i wypowiedzianiu poglądów, o ile są one naukowo prawidłowe.

Wszystko, co odnosi się do techniki badań naukowych, podlega zasadom organizacji pracy. Przy szczupłości tak pomocy naukowych jak i ludzi, konieczne jest u nas pewne planowanie naukowe, ustalające podział pracy pomiędzy zakłady i instytuty, kolejność i hierarchię zadań. Od razu powstaje problem, kto ma się tym zająć. Sam czynnik urzędniczy nie może tu decydować. Wydaje się, że powinien powstać podsekretariat do spraw nauki, który by łączył wszystkie sprawy nauki i Rada Naukowa, która by wraz z czynnikami państwowymi i społecznymi była najwyższą instytucją planowania naukowego w Polsce.

MALARSTWO POLSKIE



ARTUR GROTTGER

Portret hr. Thun (1864)

(Muzeum Śląskie w Katowicach, obecnie w Bytomiu).

Zagadnienia organizacji nauki są u nas bardzo ważne, ale obejmują niejako wyższe regiony naszego życia nauki. Intensywność tego życia zależy bowiem od pojedynczego warsztatu naukowego i od ludzi uprawiających naukę.

7

Mineły już czasy, w których genialne wynalazki robiono na prymitywnych aparatach, w szopach i na poddaszach. Metodyka badań naukowych jest dzisiaj bardzo precyzyjna, a technika naukowa coraz więcej skomplikowana. Zakłady muszą posiadać pewne minimum pomocy naukowych, aby praca naukowa była w ogóle możliwa. Minimum to zależy od istoty samego zagadnienia, czy też od różnych działów nauki. Otóż dzisiaj w wielu ośrodkach zniszczenia są tak duże, że praca naukowa możliwa będzie tylko w wąskim zakresie. Jeśli chodzi o nauki fizyczne-biologiczne, to aparatura starzeje się jeszcze szybciej niż ludzie i wykonanie pewnych prac na współcześnie obowiązującym poziomie zależy nie od tego, czy dany zakład rozporządza odpowiednio unowocześnionymi urządzeniami.

Dodajmy do tego, że przed wojną nie było u nas pod tym względem tak rozkosznie. Trzeba się samemu parać pracą naukową, żeby wiedzieć, ile świetnych pomysłów rozbiło się o trudności techniczne. Ile czasu i energii zużywało się i nadal zużywać się będzie na przezwyciężenie trudności zupełnie nieistotnych dla pracowników wielu instytutów zagranicznych.

Mam przyjaciela, który stracił około dwóch miesięcy czasu na zestawienie aparatury potrzebnej mu do pracy. Podziwiano jego zmysł konstruktorski i wytrwałość. Co do mnie, to obliczałem z żalem, wiele czasu człowiek ten zmarnował.

Tu nasuwają się uwagi. Są dziedziny badań, które wymagają szczególnie kosztownej aparatury. Stać nas może na to, aby sprowadzić ją do jednego ośrodka. Tam też powinni się skupić wszyscy interesujący się danymi zagadnieniami.

Ale przecież każdy z nas ma pewne zainteresowania najbliższe a sprawa wyboru jest czasem trudna. Przychodzi nawet buntować się wewnętrznie, robić nie to, na co się ma największą ochotę, ale to, co można. Tu właśnie powinna obowiązywać hierarchia potrzeb. Szczególnie w dziedzinie nauk stosowanych zadania mogą być dyktowane potrzebami społecznymi. Zazębiania się nauki z potrzebami bieżącego życia, szczególnie gdy ono z trudem się odbudowuje, są duże. Tym, którzy byliby skłonni widzieć w tym ograniczenie własnej indywidualności, można odpowiedzieć, że całe życie wymaga ograniczeń, że niekoniecznie to, co wydaje się mniej ciekawe, jest tak naprawdę.

8

Laboratoria, pracownie, biblioteki, to wszystko, co nazywamy pomocami naukowymi, są konieczne, by praca badawcza mogła być przeprowadzana. Organizacja tej pracy pozwala na najbardziej celowe wykorzystanie ludzi i warsztatu.

Widziałem zakłady nawet lepiej wyposażone, z których wiało sennością i nudą. Wydawać by się mogło, że siedzący tam ludzie nie widzą, czy nie wyczuwają pulsującego dokoła nich tajemniczego świata. Są bowiem ludzie, którym nie grozi ujrzenie czegoś na prawdę, bo wzrok ich zbyt przywykł do ślizgania się po powierzchni zdarzeń. Nawet wśród naukowców zdarzają się tacy ludzie. Są i wypadki, że zakłady nawet gorzej wyposażone tętnią bujnym życiem naukowym.

5 lat wojny — to długi okres czasu. 5 lat oderwania od możliwości pracy nie mogło minąć bez śladu. Wprawdzie wiedziało się, że ten lub ów pracuje, że pisze podręczniki, wykańcza zaczęta pracę. Ale uczony, który przez szereg lat udawał skrybę biurowego, albo wynosił swe łachy na tandetę, czasu utraconego tak łatwo odrobić nie zdoła. Byłiśmy 5 lat odcięci od wszystkiego, co działo się w nauce światowej, a działo się w niej dużo.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

* * *

1

Jam nocą, tyś świetlistą smugą,
Jam chmura ciemna, a ty gwiazda
Ty jesteś pługiem, jam jest ugor,
który jedynie perz zarasta.

Lecz noc o świecie spłonie zorzą,
chmura dżdżu łzami w słońcu błysnie
I siostram twym — białym brzozom
zaszumi kłos na jałowiznie.

2

Spomiędzy zakamarków brudnego podwórza,
pośród wion kłocach, odpadków i śmieci
białą ramion swych nagle wiśnia się wynurza
tej nędzy i smukowi idąca naprzeciw.

Patrzę na nią wzruszony i w oczach mych stała
jej siostra, co wzgardziwszy czarnoziemem tłustym,
zakwitła woniejącym, rozpiętym majem,
wnosząc życie i słońce, gdzie był ugor pusty.

Jest nas mało. Start w nowej Polsce materialnie nie był łatwy. Pokutuje u nas wciąż mit Judyków i Przylekchich. Wszelkie rodziłe burzliwość aż trzepocze się z radości, ilekroć tacy zjawiają się na scenie życia narodowego. I łagodne poklepywanie — tacy powinniście być wszyscy, wy, parający się kulturą. Chodźcie wam całe życie w butach dziurawych i uważać, że wam się to właściwie należy, a w zamian za to dajemy wam prawo do swobodnej twórczości, do dziwactw i słów uznania z naszej strony. To stanowisko było takie rodzime i takie sarmackie.

Taka była przeszłość, stopniowo przełamywana w opinii ogólnej. Dzisiaj bieda zagląda w oczy, ale ważne jest przełamanie owego fałszywego poglądu. Szaleńcy i zapaleńcy, abnegaci życiowi, którzy spalają się w ogniu swej idei, są i mogą być zaczynem, drożdżkami, ale nie są i nie będą organizatorami i wytrwałymi budowniczymi życia. Na to są zbyt mało ludzcy, jednostronni, w pewnym sensie zbyt altruistyczni. Fanatycy wiedzy, abnegaci życia nie mający potrzeb, trafiają się wśród naukowców może częściej niż w innych grupach, ale nie oni powinni być trzonem ludzi posuwających wiedzę naprzód.

Najczęstszym typem naukowca będzie człowiek oddany nauce, widzący w uprawianiu jej radość i najważniejszy cel życia. Są to na ogół marzyciele, ludzie o mniejszych zdolnościach do walki o byt, ale poza tym zwykli, normalni; pragną mieć dom, rodzinę i możliwość zaspokajania takich samych jak inni potrzeb kulturalnych, rozrywkowych i materialnych. I tak powinno być. Aby się poświęcić nauce, trzeba być bogatym, może nawet lepiej nie być bogatym, ale jednocześnie nie można martwić się o obiad, poczynając od polowy każdego miesiąca. Kupienie butów nie może być katastrofą życiową. Pójście do tea-

JERZY BARSKI

O centralnej organizacji badań naukowych

Kilka miesięcy temu odbyła się w Londynie wielka narada ludzi nauki, zwołana przez Sekcję Stosunków Społecznych i Międzynarodowych wielkiej instytucji angielskiej zwanej British Association. Tematem konferencji była sprawa badań naukowych w związku z planowaniem przemysłu. Przed mównicą sali konferencyjnej w londyńskiej Szkole Higieny i Medycyny Tropikalnej stanęli najwybitniejsi przedstawiciele współczesnej nauki angielskiej, między nimi ludzie o nazwiskach tak znanych jak prof. Polanyi, Edward Appleton, Armstrong, Oliphant, Fleming. Co skłoniło tych wszystkich czcigodnych mężów nauki, zabierających zazwyczaj głos publicznie wyłącznie w sprawach dotyczących ich specjalności, do złamania tej tradycji i wygłoszenia w sercu starej Anglii długich przemówień, w których młodzieńczy romantyzm siedł w parze ze światoburczymi ideami socjalnymi.

Prof. Oliphant, jeden z najbardziej zasłużonych badaczy energii atomowej, zawarł odpowiedź na to pytanie w krótkim zdaniu: „pracownicy nauki zostali przed i w czasie tej wojny wyrzuceni ze swej wieży z kości słoniowej”.

Mówi się dużo o przewrocie, jakiego dokonały nowe odkrycia w medycynie, w strategii wojennej i w ekonomice. Ale, jak się okazuje, niemiejszą rewolucję spowodowały one w pojęciach samych uczonych, w ich poglądach na sprawę ludzkie i w ich stosunku do społeczeństwa. Angielskie czasopismo „Nature” w jednym ze styczniowych numerów z bieżącego roku pisze w artykule poświęconym wspomnianej konferencji, że idee, które niedawno jeszcze uchodziły za niepraktyczne i rewolucyjne, utorowały sobie drogę w świecie nauki, w sferach przemysłowych a nawet w rządzie.

Idee te były osiłą kilkudniowych obrad zebrania czołowych przedstawicieli nauki angielskiej. Są one tylko pośrednio związane z ostatnimi osiągnięciami fizyki jądrowej czy nauk biologicznych. Jest rzeczą zmienną i dobrze wróżącą na przyszłość, że główna uwaga tak czcigodnego i autorytatywnego zgromadzenia była zwrócona na sprawy związane ze skutkami społecznymi wielkich odkryć, z zagadnieniem racjonalnej i celowej organizacji badań naukowych i ze sprawą celowej i świadomej organizacji współczesnych społeczeństw.

Niektórzy ludzie, lubiący spoglądać na postęp wiedzy ludzkiej przez czarne okulary, jeszcze na długo przed wojną malowali nam obraz przyszłego specjalisty naukowego jako człowieka o jednostronnie rozwiniętym aparacie poznawczym, ślepiego na wszystko to, co nie dotyczy jego dziedziny. Tymczasem rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Wielkie wydarzenia burzyły się z jednym zamachem wydrze z kości słoniowej i uczeni znaleźli się na fali wielkich przemian społecznych, często w samym ich wirze.

Jak wiadomo, uczeni rosyjscy a za nimi angielscy i amerykańscy zostali w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę lub po jej wybuchu w pewnym sensie zmobilizowani

tru nie powinno być związane z obciążeniem dnia obiadowego. A tak właśnie jest. „Pełny” zwyczajny profesor otrzymuje około 5 tys. zł, asystent około 2 tys. Asystent, jak określa ustawa, a także niektórzy profesorowie, tzw. pomocnicza siła naukowa, to — choć nie śmieć-tanka i nie splendor nauki, ale to nie początkujący adept, lecz pełny pracownik nauki, często też nie młodziak, ale dzieciaty i żonaty, z siwizną na skroniach.

Wszyscy wiemy, że jest ogólna bieda, ale wydaje się, że jeszcze nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak zarabiają pracownicy nauki. I z tego, że w tych warunkach tylko nieduży procent może sobie pozwolić na pracę naukową nie dorywczą, lecz stanowiącą główne zajęcie. Przykro jest o tym mówić, bo wiemy, że państwo nie może radykalnie tego stanu zmienić. Ale taki stan rzeczy odbija się bardzo silnie na rozwoju nauki w Polsce.

9

Prof. Rutkowski w jednym z artykułów w „Nauce Polskiej” stwierdził, że przed wojną około 30 procent profesorów wyższych uczelni nie pracowało naukowo. Są profesorowie, którzy wprawdzie sami naukowo prawie wcale lub wcale nie pracują, ale są doskonałymi pedagogami. Są też inni, którzy nie drukują prac pod swoim nazwiskiem, ale niemniej skupiają dokoła siebie uczniów. Twórczość ich objawia się poprzez innych.

Trzecia kategoria to ci, którzy naprawdę nie pracują. Różne mogą być tego przyczyny. Nadmierne zaabsorbowanie innymi sprawami, np. polityką, odsuwa często uczonych od nauki. Bywają zawody i załamania wewnętrzne przy starciu ze zbyt ciężkimi warunkami pracy i życia. Czasem może to być proces wyczerpywania się talentu, zdarzający się u malarzy czy literatów, a nie omijający u naukowców. Objawia się on jako zanik inwencji, cie-

kawości wewnętrznej, jako starość duchowa poprzedzająca nieraz starość fizyczną.

Niekiedy wreszcie — rzecz najbanalniejsza — osiadanie na laurach czy też zwykłe lenistwo.

Uwagi w „Nauce Polskiej” obejmowały tylko profesorów. Ale przecież świat nauki nie zamyka się w ich kręgu. Birety i togi należą do świata hierarchii. Ale na codzień, przy pracy, wspólny płaszcz pracowniany, jednokowy dla profesora i asystenta, jest tym, co łączy i wytwarza wspólnotę.

10

Polsce potrzebna jest nauka. Konieczne jest upowszechnienie jej w masach. Poprzez nauczanie, rozwój twórczości badawczej i myśli naukowej — dokładnej i ścisłej, zwalniającej życie z pęt metafizyki lub grasujących wciąż u nas dociekań chimerycznych mniemań, fobii lub filii takich czy innych. Potrzeba Polsce zastrzyku krytycznego racjonalizmu. Potrzeba też naukowego humanizmu, który by w świecie dzisiejszym, zniszczonym, szarpanym i wątpliwym, wskazywał na to, co jest wspólne wszystkim, mimo tego, co nas wciąż jeszcze dzieli — na to, co jest harmonijne, mimo tylu istniejących dysharmonii.

Uprawiać naukę w znaczeniu wiedzy, jak i narzędzia lepszego jutra — może każdy. Rozwój nauki zależy od wyposażenia warsztatów naukowych, zabezpieczenia bytu materialnego naukowców, od organizacji badań. Ale jest jeszcze czwarty warunek. Tkwi on w samych ludziach, nazywających siebie uczonymi, naukowcami. Rola pracy nad sobą, upór wewnętrzny, zrozumienie wielkiej, społecznej funkcji nauki, a stąd zrozumienie znaczenia własnej pracy dla społeczeństwa.

Pod tym względem nie jest u nas źle.

Anatol Listowski

przez rządy do rozwiązania wielu zagadnień o wielkim znaczeniu gospodarczym i wojskowym.

W rzeczywistości nawet i w tych wypadkach nie można mówić o „zamówieniu” rządowym na odkrycie lub wynalazek. Jeśli idzie o faktyczny stan rzeczy, to jasne jest, że w większości wypadków sami uczeni zwracają uwagę na możliwość zastosowania praktycznego tego czy innego odkrycia. Otrzymując od rządu środki materialne i personel techniczny dla organizacji badań na większą skalę, utrzymują oni w dalszym ciągu inicjatywę i kierownictwo nad pracami badawczymi.

Oczywiście niepowołana ingerencja i nacisk może prowadzić do fatalnych następstw. Przykładem tego była „radosna twórczość” narodowych socjalistów w Niemczech. Do czego mogła dojść nauka hitlerowska i w jakim stopniu mogła się rozwijać, jeśli twórca niemieckiego faszyzmu tak się o niej dosłownie wyraża: „Dziękuję opatrności za to, że pozostawiła mnie bez wykształcenia — czuję się z tym doskonale”, a w innym miejscu: „Kultura i wiedza są jawnie niebezpieczne dla nas, narodu panów... Ideał ogólnoludzkiej kultury dawno się już przeżył”.

Niektórzy uczeni angielscy przerażeni straszliwym upadkiem tak jeszcze niedawno kwitnącej nauki niemieckiej, którego byli świadkami, w licznych wypowiedziach wyrażają obawy, że wszelki przerost planowania i centralnej organizacji w dziedzinie nauki może się okazać szkodliwy.

Oczywiście biurokratyzacja nauki nie jest w żadnym wypadku pożądana, ale przypuszczam, że głównych przyczyn upadku nauki niemieckiej należy się doszukiwać nie tyle w tym, że została ona zaprzęgnięta do służby określonego celowi. Sądę, że wymowniej o przyczynach tego upadku świadczy choćby takie szaleńcze słowa człowieka, którego Niemcy uczynili swoim wodzem: „winniśmy się wystrzegać myśli, świadomości — pozostać posłusznymi naszym instynktom. Jesteśmy barbarzyńcami i powinniśmy być nimi”.

Nauka angielska podobnie jak rosyjska intensywnie pracowała w czasie wojny na rzecz zwycięstwa. W tym okresie powstały instytucje naukowe o nowym systemie pracy, opartej na podstawowych zdobyczach teoretycznych wiedzy. W tempie bardzo szybkim i przy stosunkowo najmniejszym rozproszeniu środków osiągnęto wspaniałe wyniki. Przykładem świadomie zorganizowanych i uwięzionych powodzeniem przedsięwzięć może być zarówno wywołanie energii atomowej, konstrukcja radaru, produkcja penicyliny, jak i seryjna budowa wyrzutni reakcyjnych pocisków rakietowych, zwanych „katuszami”, czy też wielkie odkrycia geologiczne, dokonane w azjatyckiej części ZSRR.

Wielkie te sukcesy osiągnęto stosując planową organizację poszukiwań naukowych, podział pracy, a w szczególności tworząc wszechstronnie wyposażone zespoły naukowe, co Anglicy nazywają „team-work”. Ten sy-

stem pracy naukowej był stosowany w ZSRR i przed wojną. W krajach anglosaskich był on w dużym stopniu nowiną, a doskonale jego wyniki praktyczne obudziły zainteresowanie graniczące nieomal ze sensacją. Otóż te właśnie zagadnienia „team-work” — pracy zespołowej w badaniach naukowych były jednym z głównych tematów obrad londyńskiej konferencji.

Mimo, że Anglicy posiadają stosunkowo liczne kadry pracowników naukowych, a podczas wojny ponieśli minimalne straty w ludziach — dużo się jednak mówi w Anglii o jak najbardziej oszczędnym i celowym gospodarowaniu wysoko wykwalifikowanym materiałem ludzkim, o racjonalnym rozdziale specjalistów między ośrodki akademickie i przemysł, a przede wszystkim o takiej organizacji badań naukowych, która by przez podział pracy i zadań, synchronizację i pomoc wzajemną, szybko i właściwą informację umożliwiła osiągnięcie najlepszych wyników przy pomocy personelu naukowego. W Anglii odzywają się głosy ubolewania nad tym, że Wielka Brytania zbyt lekkomyślnie „rozsięwa” swoich uczonych po świecie, tracąc ich często bezpowrotnie.

Gdy się czyta opinie angielskie o organizacji badań naukowych i racjonalnym gospodarowaniu materiałem ludzkim, narzuca się pytanie: jakżeż mamy postępować my Polacy, którzy ponieśliśmy najcięższe straty w bibliotekach, zakładach naukowych, a przede wszystkim w ludziach — w obliczu ogromnych zadań i prac, jakie narzuca nam konieczność jak najszybszego zrównania się z poziomem zagranicy.

Rozmawiałem na ten temat z wieloma przedstawicielami nauki polskiej. Większość spośród nich jest tak bardzo przeładowana pracą bieżącą, której dużą część stanowią niezliczone kłopoty administracyjne i materialne, że przy codziennych absorbujących kłopotach nie zawsze znajduje czas i ochotę na zastanawianie się nad zagadnieniami natury ogólnej. W rozmowach tych wysuwał się myśl o konieczności jak najlepszego, świadomego i celowego zebrania i zorganizowania sił i środków, które mamy do dyspozycji. Sądę, że winien powstać u nas ośrodek o charakterze centralnym, podobny do francuskiego Centre National pour la Recherche Scientifique czy też amerykańskiego National Office of Scientific Research and Development. Naczelnym zadaniem tej instytucji byłaby koordynacja badań naukowych w kraju z odpowiednimi pracami za granicą i koordynacja czy też podział najpilniejszych zadań między różne nasze ośrodki badawcze, subdywidowanie tych ośrodków i tworzenie w miarę sił i środków nowych placówek badawczych. Działalność taka wiąże się oczywiście ze sprawą organizacji zjazdów i konferencji naukowych, zdobyciem czy rozprawdzeniem zagranicznych wydawnictw i urzędów naukowych.

Prof. A. B. Dobrowolski wysunął w swoim czasie koncepcję stworzenia Ministerstwa Nauki. Z pojęciem ministerstwa związane są

Jednak funkcje zbyt biurokratyczne, tendencje do ujednolajnienia podległych mu instytucji, wciągnięcia ich w jednolity uproszczony system, który umożliwia wgląd wykwalifikowanemu czynnikowi urzędniczemu. Dlatego wydaje mi się, że ta koncepcja, w pewnym sensie może korzystna dla nauki, kryje w sobie jednak poważne dla jej pełnego i swobodnego rozwoju niebezpieczeństwo.

Centralny urząd badań i rozwoju nauki zależny bezpośrednio od Prezydium Rady Ministrów, którego utworzenie proponuje, musiałby się przede wszystkim oprzeć na istniejących instytucjach naukowo-badawczych, rozsianych w tej chwili przy katedrach wyższych uczelni, nielicznych i najczęściej wegetujących instytutach naukowych, wreszcie

w laboratoriach, przemyśle, pracujących w sposób zupełnie nieskoordynowany. Kto styka się z naszym światem nauki, wie, że nad jednym zagadnieniem pracują niekiedy różne placówki, często nie wiedzące o sobie i nie współpracujące z sobą, podczas gdy problemy wielkiej wagi teoretycznej i praktycznej leżą zupełnie odłogiem. Centralny urząd dla badań naukowych spełniłby więc przede wszystkim rolę ośrodka koordynacji zarówno spraw, materiałów jak i ludzi.

Wprowadzanie do badań naukowych czynnika nadrzędnego może się komuś wydać niebezpieczne, może wywołać obawy, że zagraża to będzie wolności nauki.

Przypuszczam jednak, że obawy takie nie są dostatecznie uzasadnione.

Nie wolno zapominać, że wyjątkowa odpowiedzialność za losy społeczeństwa, jaką obarczona jest dziś nauka i ludzie nauki, nakłada też szczególne obowiązki. Tak dzieje się nie tylko u nas, ale nawet w bogatej i tradycyjnie liberalnej Anglii. Mac Curdy, jeden z uczestników wyżej wspomnianej konferencji, wyraził się, że „podstawowa potrzeba jest dziś ściślejsze i pełniejsze powiązanie badań naukowych akademickich i przemysłowych, samego przemysłu i administracji państwowej z potrzebami społeczeństwa”. W innym miejscu ten sam uczony angielski stwierdził, że obecna rzeczywistość stanowczo wymaga stworzenia systemu dającego się porównać z mózgiem ludzkim. Jeśli nawet tak z natury konserwatywni i przy-

wiązani do swobód Anglii uznają konieczność podporządkowania badań naukowych centralnemu ośrodkowi i ideom przewodnim, widocznie jest to w nowoczesnym społeczeństwie konieczność rzeczywiście pałaca.

Jasne jest, że można jedynie przyklasnąć tym wszystkim wystąpieniom angielskich uczonych, którzy uznając w zasadzie tę konieczność, zastrzegają się przeciwko wszelkiemu ograniczeniu czy też postępowaniu wolności badań **teoretycznych i podstawowych**, nie dających bezpośredniego i natychmiastowego wyniku praktycznego, ale które stanowiły i stanowią wiecznie żywe źródło zasilające nauki stosowane.

Jerzy Barski

WITOLD ZIEMBICKI

FRAKASTOR 1546–1946

I

Tuż obok starego ratusza w Weronie, zwanego oficjalnie Palazzo del Consiglio, a popularnie la Loggia, znajduje się wąskie przejście okolone kamiennymi łukami w stylu wczesnego renesansu. Na łuku przytykającym do ratusza stoi rzeźbiona podobizna mężczyzny. Wyobraża ona jednego z najznakomitszych synów Weroni. To **Girolamo Fracastoro**, lekarz i poeta, urodzony tu w r. 1478, a zmarły w małym domku pod miastem w r. 1553.

Był on prawdziwym dzieckiem Odrodzenia. Bo chociaż epoka ta obfitowała w ludzi genialnych, którzy dokonali tylu odkryć rewolucyjnych, Fracastor przescigał wielu współczesnych dalekim wzrokiem i wyjątkowym darem obserwacyjnym.

Medycynę kończył w Padwie. Tu w r. 1501 spotkał się ze starszym o lat pięć Kopernikiem, który po studiach prawniczych w Bolonii przybył na Wydział lekarski do słynnej uczelni. Może tej znajomości zawdzięczał Fracastor zamiłowanie do astronomii, nie opuszczające go do końca życia.

Wśród nauk lekarskich nie było dziedziny, która by takie wrażenie sprawiała na Fracastora, jak nagminne choroby zakaźne. Zagadka ich pochodzenia i szerzenia się nie dawała mu spokoju. Jego samodzielny, ruchliwy, humanistyczny umysł pragnął przeniknąć tę zagadkę i dowiedzieć się czegoś więcej niż to, co przekazała stara tradycja. Jego bujna, poetycka wyobraźnia wywoływała raz po raz straszliwe obrazy moru czyli „czarnej śmierci”, która nie tak dawno, bo w XIV wieku, pochłonięła czwartą część ludności Europy. Wszakże w samej Florencji zginęło wtedy w jednym roku (1348) 100 000 mieszkańców, tyleż w Wenecji, 60 000 w Sienie. Paniczne echa tej klęski wciąż jeszcze przejmowały ludzi dreszczem, a zaraza czyhała i co pewien czas dawała znać o sobie.

Inna, nie nagła, ale nieubłagana śmierć zaglądała ludzkości w oczy pod nazwą trądu. A oto w ostatnich lat dziesiątkach srożyła się jakaś nowa, nieznana przedtem zaraza. Ludzie nie umierali na nią tak gwałtownie jak na dżumę, a od trądu różniła się tym, że nie była tak bezwzględnie zabolająca, niemniej jednak jej rozpowszechnienie, jej wstrętne objawy, odrażający wygląd ludzi nią dotkniętych — stanowiły aż nadto poważne przyczyny do nazwania tej dzwiny choroby jedną z jeszcze plagą ludzkości.

A co najgorsze, że nie skutkowały prestrzogi, że izolacja, stosowana już od wieków w trądzie, tu okazała się złudną i że uciekać w lasy, jak przed dżumą, też nie próbowano. Bo chociaż było już rzeczą wiadomą, że zaraza szerzy się przez uścisk miłosny, człowiek pędzony przemożną siłą płciowej chuci nie zważał na żadne niebezpieczeństwo i szedł w nie jak ćma w ogień. Kara za grzechy? Reminiscencje starych teorii odżyły u Fracastora. Czyż nie ponętny temat do opracowania poetyckiego? Tak też uczynił. Zamiast uczonego traktatu napisał poemat.

W czasach, gdy pasterz imieniem Syfilus pasł swe trzody, ludzie oddawali słońcu część boską. Wszakże ono, słońce, było źródłem życia i zdrowia na ziemi. Wiedzieli o tym od wieków wszelakie stworzenie. Czczono słońce wschodzące, gdy promienna jego tarcza złościła fale Tygru i Eufratu. Bogu-słońcu stawiano świątynie nad brzegami świętego Nilu. Był kraj, w którym najpiękniejszego z bogów, władcę słońca, nazywano Apollinem, a gdzie indziej znów Febusem, dodając mu przydomek uzdrowiciela.

Ale pycha i głupota ludzka nie mają granic. Człowiek zapragnął się wyłamać spod potężnej władzy słońca. Tym, który mu pierwszy powiedział służbę, był Syfilus. Za jego przykładem poszło całe plemię, i zaślepione ułudą doraźnych korzyści zaczęło stawiać ołtarze swemu doczesnemu królowi. Zawrzało gniewem słońce. Należało ukarać buntowników. Gęste snopy złych, chorobotwórczych promieni napełniły powietrze, ziemię i wody. Dotknięty nimi pierwszy padł ofiarą Syfilus, a los jego podzielił cały szczepek. Ohydna, nie-

znana dawniej choroba rozeszła się po kraju, aby go już nigdy nie opuścić.

Nie koniec na tym. Gdy Hiszpanie pod wodzą Kolumba odkryli owe ziemie i, nie szanując miejscowych zwyczajów, zaczęli zabijać święte ptaki, wtedy i ich nie minęła kara. Zaraza przerzuciła się na nich. Wzięli ją tedy ze sobą w drogę powrotną, zaszczepili w swej ojczyźnie, a stąd rychło po całym Starym Świecie się rozniosła.

Taka była opowieść o wiarołomnym pasterzu Syfilusie. Od jego imienia utworzył zmianę końcówki przybrał tytuł „Syphilis”, to samo słowo stało się odtąd nazwą choroby, której pierwszy uległ biedny pasterz. Oto geneza nazwy przyjętej we wszystkich językach, która przetrwała do dzisiaj.

Niezwykły to przykład w dziejach terminologii. Mamy w medycynie nazwy oznaczające proces chorobowy, który w danej chwili toczy się w jakimś narządzie, np. zapalenie płuc; mamy nazwy mówiące o stanie ogólnym, np. tyfus, co oznacza odurzenie (stąd polski „dur“); mamy nazwy obrazowe, jak płonica albo szkarlatyna, w której skóra „płonie” i jest podobna do „szkarlatu”; inne mają imię odkrywców, który je po raz pierwszy opisał, np. choroba Basedowa; jeszcze inne nazwane są imieniem kraju, którego się trzymają, albo gdzie po raz pierwszy były spotrzone: tu należy np. gorączka maltańska, gorączka wołyńska; często jest to nazwa nieuzasadniona, jak to było z kołtunem, który niesłusznie przypisano naszemu krajowi dając mu nazwę łacińską Plica polonica, niemiecką Weichselzopf. Ale syfilis, — to nazwa nie mająca żadnej podstawy etymologicznej, naukowej, geograficznej, nazwa fantazyjna, po prostu zmyślona, przeniesiona żywem z bajki do patologii. Pochwycona skwapliwie, przyjęła się powszechnie. Może dlatego, że choroba weneryczna, którą oznaczała, nie miała innej nazwy ustalonej, a różne narody, odpychając odium od siebie, usiłowały ją ochrzcić imieniem kraju sąsiedniego. Najpopularniejszą z takich nazw geograficznych była „choroba francuska”.

Dlaczego? Jedna z wersji jest następująca. Kiedy choroba ta, nowa czy nie nowa, zaczęła się szerzyć w sposób w oczy wpadający i z Hiszpanii, po powrocie Kolumba (1493), przeniosła się do południowej Italii, gdzie sobie upodobała zwłaszcza Neapol, wtedy właśnie wojska francuskie pod wodzą Karola VIII (roszczącego sobie pretensje do tego miasta) przybyli tam w zdobyczym pochodzie, a przyjęte przez ludność więcej niż gościnnie, oddały się uciechom in Baccho et Venere. Gorące Neapolitanki dzieliły się z wojakami wszystkim, czym mogły i — co miały. I oto najnielogiczniej w świecie, choroba przyniesiona przez armię francuską z Włoch do Francji została nazwana nie włoską, ale francuską.

Pokpiwając później z niefortunnej wyprawy, zakochanej fiaskiem politycznym i zwrótem Genui, Neapolu itd., śpiewał Voltaire o swych ziomkach:

**„Puis ils furent chassés patrouit,
Et Gènes et Naples on leur ôta.
Mais ils ne perdirent pas tout,
Car la Vérole leur resta...”**

La vérole — to jedna z ludowych nazw choroby, o której mowa.

Nawiasem wspomnę, że inna wersja, podająca w wątpliwość jej pochodzenie amerykańskie, przypomina pewien proces sądowy z Dijon, z czasu wyprzedzającego odkrycie Ameryki, w którym to procesie pewna profesjonalistka użyła na oznaczenie tej samej choroby wyrazu „gros mal”, co miało być synonimem nazwy „grosse vérole”, a zatem wskazywać, że choroba ta we Francji była już znana od dawna.

Dość, że Fracastor, publikując w r. 1530 swój poemat, dał mu tytuł: „Syphilis sive morbus gallicus” (Syfilis czyli choroba francuska).

Utwór zawiera poza fabułą wiele szczegółów z obserwacji i wskazówek lecznicze.

Fracastor nie skończył na tym. Studium chorób zakaźnych nie przestało go pasjonować. Znał już złowrogą i zabójczą równie dla bydła jak i ludzi węglik czyli karbunka, znał parchy, suchoty i różę. W szczególny sposób zastanawiała go inna, częsta, nagminnie powtarzająca się choroba. Powalony nią człowiek bredził, policzki mu pałały, ciało miało gorące, leżał jakby oszołomiony, to znowu zrywał się nieprzytomnie. Zapadali na nią mieszkańcy miast, wsi, żołnierze — masowo. Fracastor rozróżniał dwie formy: jedna rozwijała się wolniej, druga spadała nagle; jedna trwała dłużej, druga krótko; w jednej coś się psuło w brzuchu, w drugiej była obrysowana skóra. Czy to może odmiany moru, owej dżumy, czyli „czarnej śmierci”? Jeżeli były cechy podobne, to inne nie zgadzały się. I powtarzały się stale. Różnice coraz wyraźniej zarysowały się w umyśle Fracastora. Nie tylko między tymi dwoma chorobami a dżumą, ale między nimi samymi. Tak przyszedł do odrobinienia tyfusu brzuszego od płamistego.

Skłonna do obrazowania myśl Fracastora po raz pierwszy pojęła indywidualne różnice chorób zakaźnych jako odrębnych jednostek. Każda z nich otrzymała swe „oblicze”. Co więcej: oblicze posiadały też epidemie całe, raz łagodniej, raz srożej przebiegające. Miały i one swe zwyczaje i swoje kaprysy. To, co w sto lat później sformułował słynny klinicysta angielski Sydenham, przeczuł już i ujął w pewne reguły Fracastor. Poglądy swe spisał i wydał drukiem w Wenecji w r. 1546 w dziełku zatytułowanym: „De contagione et contagiosis morbis et curatione”. (O zakażeniu, o chorobach zakaźnych i ich leczeniu).

Pojęcie „contagium” jest także po raz pierwszy w piśmiennictwie wyrażone. Jest to więc już wyraźne nazwanie tego nieuchwytnego jeszcze wówczas „czynnika zakaźnego” odkrytego dopiero po upływie wieków przez bakteriologię.

Fracastor rozumiał, że musi istnieć „coś”, co chorobę z miejsca na miejsce, z przedmiotu na przedmiot, czy z człowieka na człowieka przenosi, chociaż nie zdawał sobie sprawy, że jest to „materia ożywiona”, jak ją później nazywano, czyli, że przenośnikami są sui generis żyjątka. Fracastor wywodzi dalej, że choroby zaraźliwe mogą się szerzyć w trojaki sposób: albo przez ludzi noszących w sobie owo „contagium”, albo przez przedmioty, albo wreszcie przez powietrze. Z tego wynikają przepisy zapobiegawcze. Od czasów biblijnych znane zarządzania o izolowaniu trędowatych, a potem średniowieczne edykty o zwalczaniu dżumy, nabrały dzięki Fracastorowi nowego oświetlenia.

Charakterystyczne jest, że zapatrywania Fracastora na sposób szerzenia się chorób epidemicznych przez kontakt bezpośredni, jako też pośredni, a wreszcie i przez powietrze, wcale nie straciły na słuszności pomimo upływu czterech stuleci od ich wypowiedzenia. Sposób szerzenia się niektórych epidemii jest wprawdzie i dziś jeszcze okryty tajemniczą zasłoną, ale znamy wiele innych, które szerzą się tak właśnie, jak sobie to wyobrażał Fracastor. Co do powietrza, to jakkolwiek medycyna przeszła pod tym względem pewien okres powątpiewania, wiemy dziś, że może ono istotnie przenosić niektóre zarazki „rozpylone”. Nawet tyfus płamisty, o którym od roku 1909 (dzięki uczonemu francuskiemu Nicolle) wiemy, że go przenosi wesz przez ukąszenie, kto wie, czy nie może się w pewnych warunkach przenosić powietrzem, wtedy mianowicie, gdy wyschnięte odchody wszy zakażonej zetkną się czy to z uszkodzoną skórą, czy z błoną śluzową. Drobną kropelką kultury zawierającej zarazki duru płamistego, prysnąwszy w oko i przeniknąwszy do krwi przez błonę spojówkową, wystarczyła do śmiertelnego zakażenia, któremu uległ znany uczony. Czyż zarazków w pył zmienionych nie może przenieść także prąd powietrza? I cóż dziwnego, że np. zarazę morową, trawiącą na wzór pożaru całe osiedla, lud z dawien dawna przypisywał działaniu powietrza i że ją samą, zara-

zę, nazywał „powietrzem”? „Od powietrza, głodu i ognia...” szeptały usta przerażone. Kraj nawiedzało „powietrze”. „Powietrze” idzie — to był synonim epidemii dżumy. A dzisiejsza nauka nie widzi w tym zbytniego nonsensu. Nie można się też dziwić, że jeszcze z początkiem XX wieku, przed odkryciem Nicolle’a, dezynfekcję po tyfusie płamistym przeprowadzano karbolem, zmywając nim ściany i podłogi. Jako asystent pewnej kliniki uniwersyteckiej byłem świadkiem takiej kąpieli całego budynku, gdy u jednego z chorych odkryto niespodzianie tyfus płamisty!

Pierwszy opis tej choroby należy do trwałych zasług Fracastora. Ale jakież budzą się w nas refleksje, gdy bystrość obserwacyjną tego humanisty porównamy z oślawionym wypadkiem nowoczesnej ignorancji. Smutnymi bohaterami tego zdarzenia byli wojskowi lekarze austriaccy w czasie pierwszej wojny światowej. Na próżno gubili się oni w domysłach, co by to mogła być za choroba, która wybuchła nagminnie w obozach przeznaczonych dla jeńców serbskich. Nie znalazłszy innej odpowiedniejszej nazwy, wzięli ją za grype. Gdy jednak śmierć zbyt wielkie jak na „grypę” zaczęła zbierać żniwo i sprawa nabrała rozgłosu, wezwano na pomoc lekarzy „galicyjskich”. I wtedy skromny fizyk powiatowy bez trudności nazwał zarazę jej właściwym imieniem, przypominając, że była ona do owego jeszcze czasu nieuniknioną towarzyszką wszystkich wojen.

Od wydania traktatu Fracastora o chorobach zakaźnych upłynęło lat równo 400. Potomność nie zapomniała jednak ani o samym traktacie, ani o jego autorze. Zapewne — nie może on się mierzyć z takimi filarami Odrodzenia, jak Kopernik albo Wezaliusz, którzy na 3 lata przed traktatem Fracastora (1543) ogłosili swe epokowe dzieła (jeden z astronomii, drugi z anatomii). Niemniej jednak musimy podziwiać jego fenomenalną myśl spoprzegawczy i samodzielną myśl krytyczną, jego śmiałość teorii, których bieg czasu ani nie osłabiał, ani nie osłabił.

Niewątpliwie — już sam utwór o Syfilisie, jako nadający nazwę jednej z najbardziej rozpowszechnionych chorób, wystarczyły mu do trwałej popularności. Ale jego właściwa zasługa, zasługa naukowa, mieści się w traktacie drugim. Warto więc w czterechsetną rocznicę tej zasługi wspomnieć, czyje imię słusznie należy umieszczać na czelu długiego rzędu badaczy chorób zakaźnych, epidemiologów w szczególności. Jeżeli zaś chodzi o dur płamisty, który dziś budzi tyle nowego zainteresowania dzięki takim odkrywców jak Nicolle, jak Provazek, Ricketts i nasz Weigl, to pamiętajmy, że i w tym szeregu jaśnieje na czelu imię Hieronima Fracastora.

Witold Ziembicki

W poprzednim (76) numerze „Odrodzenia” z dnia 12 maja: **Zbigniew Przygórski**: Na fałszywych tropach. — **Krystyna Kuliczowska**: Ballada „Powrót taty” jako baśń dla dzieci. — **Zofia Zytyńska**: Zwycięzca. — **Malarstwo francuskie (Honoré Daumier)**. — **Roman Bratny**: List do siebie na Zachód. — **Jan Huszcza**: Listy. — **Mieczysław Pruszyński**: Zima francuska 1939/40. — **Malarstwo polskie (Marcell Maszkowski)**. — **Wiesław Osterloff**: Kryminalistyka i bajki Grimma. — **Jan Reychnan**: Rumuński polihistor. — **Stefan Papée**: Arcydzieło Sienkiewicza. — **Js**: Polska współczesna. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankietą „Odrodzenia” (**Kazimierz Bleszyński**, **Konrad Górski**, **Wojciech Hejnosz**, **Jan Kott**, **Tadeusz Kraszewski**, **Julian Nowak**, **Stefan Papée**, **Zofia Petersowa**, **Kazimierz Sońnicki**, **Stefan Srebrny**, **Witold Wirpsza**). — **Korespondencja (Witold Zatyński, Marian Tyrowicz, Mieczysław Jastrun)**. — **ts**: Niemcy wobec Słowian polabskich. — **Tadeusz Breza**: „Wielkanoo” Stefana Otwinowskiego. — **Józef Sieradzki**: Prawda — z błędami. — **Wacław Kubacki**: Uwagi po konkursie. — **J. A. Szczepański**: W teatrach krakowskich. — **Nagrody literackie**. — **Stefania Łobaczewska**: — **Zycie muzyczne w Krakowie**. — **Charlie (rys.)**: Kraków — miasto muzyki. — **ww**: Mitologia i realizm. — **zbt**: Przegląd prasy. — **Charlie (rys.)**: Skutki wojny. — 7 ilustracji. — 12 stron.

STANISŁAW GERSTMANN

O Chochole i Wernyhorze

I

„Wesele“ od pół blisko wieku przyciąga uwagę krytyków i badaczy. Jego wieczna, zdawałoby się, aktualność polega nie tylko na przedziwnej różnorodności walorów śmiałego, nowatorskiego piękna, ale też na silnym związku obrazów poetyckiej fantazji z zimną, nieraz dla Wyspiańskiego tragiczną prozą życia. Nie można odczuć piękna „Wesela“ nie rozumiejąc postawy Wyspiańskiego, artysty, pomijając równocześnie stanowisko Wyspiańskiego-obszernego obserwatora współczesnego mu życia.

Rozprawa prof. St. Pigiona pt. „Goście z za świata w Weselu“ ogłoszona w drugim numerze miesięcznika „Nauka i Sztuka“, odświeża jakby problem „Wesela“; zmusza ona do postawienia centralnego dla tego utworu zagadnienia „osób dramatu“ na innej nieco płaszczyźnie.

Wiele jest przyczyn rozbieżności sądów, do jakich doszli poszczególni autorzy prac o tym naprawdę niezwykłym dramacie. Przy pobieżnym nawet badaniu metody stosowanej przez krytyków piszących o tym utworze, rzuca się w oczy jeden z głównych powodów sprzeczności zdań: w większości rozpraw badacze wychodzą najczęściej od własnych pomysłów interpretacyjnych pewnych części dzieła i dopiero potem szukają w tekście uzasadnienia dla swojej koncepcji. Jest to niewątpliwie droga, która ułatwia wszelkie pomyłki i opuszczenia tych miejsc dzieła, które mogłyby dowodzić niesłuszności teorii lub też jej prawdopodobieństwo znacznie osłabiać.

Ponadto krytycy zajmując się zwykle tylko jednym zagadnieniem utworu, najczęściej problemem „osób dramatu“, tracą z oczu całość dzieła, co jest drugim, nie mniej ważnym powodem przeoczeń i pomyłek.

„Wesele“ jest odbiciem różnych postaw poety wobec wielu ważnych dla niego zagadnień, stąd odkrywamy w dramacie harmonijny szereg różnorodnych pierwiastków emocjonalnych od subtelного lirycznego wzruszenia po gniew i oburzenie, znajdujemy ironię i śmiech, satyrę i krytykę, ból i humor. Patrząc na utwór z jednej tylko perspektywy, wbrew najlepszym nawet intencjom, otwieramy sobie drogę do pomyłek.

Poniższe uwagi powstały na marginesie monograficznej pracy o „Weselu“, w której, aby jak najbardziej obniżyć możliwość błędów przez poddanie się sugestii owych różnorodnych, tak barwnie opalizujących wartości „Wesela“, obrano jako punkt wyjścia — o ile to możliwe — tekst i jego ścisłą analizę. Na tej drodze więc będziemy się starali rozstrzygnąć to podstawowe pytanie: jacy „goście“ zjawiają się w izbie weselnej w drugim akcie, jak przedstawia się problem zaprosin i pochodzenia zjaw w świetle tekstu dramatu.

II

Jak wiadomo sam pomysł wezwania ich na ucztę weselną, pochodzący od Racheli, został później zmieniony przez Poetę i Pana Młodego.

Rachela, na której „literacki ton“ skarży się ojciec, ma wyobraźnię rozbudzoną przez lekturę młodopolskiej poezji („Ogromnie dużo wierszy czytałam“). Żyje więc ona zgodnie z modą epoki nastrojami, nie pisze poezji, bo wie, że „nie dorosła do wielkich skal“, lecz jak sama wyznaje

...kiedy spojrzę, to widzę
poezję żywą zaklętą...

Poezja dla niej to nie tylko pisanie wierszy, poezja, piękno i nastrój udzielający się duży wrażliwego człowieka, niekoniecznie artysty-twórcy, tkwi w urokach przyrody:

cała ta przyroda tajemna
przestała mi być ciemna.

Poeta rozumie dobrze kryjącą się w tych słowach myśl, jeżeli odpowiada:

Ze świętymi pani przestaje,
za pan brat z różami w ogrodzie,
za pan brat z obłokami...

Obrażona przez półdrwiący ton swego rozmówcy, tej właśnie poezji chce się poskarżyć na krzywdę niedowiarstwa, jaka ją spotyka, a za symbol czy reprezentanta „żywej poezji“ w przeciwstawieniu do „pisanej“ jakby, utworzonej przez zawodowych niejako poetów uważa krzak róży w słomianej pokryw — chochoła.

Rachel, która nie będąc poetą-twórcą, nie ma żadnej mocy, żadnej siły zdolnej udzielić się otoczeniu — ona bowiem nie tylko „nie dorosła do wielkich skal“, ale „bawi się pour passer le temps“ tylko — chce swój poetyczny nastrój narzucić zebrany na „weselu“:

Chcę poetyczności
dla was i chcę ją rozdmuchać;
zaprosicie tu, na wesele,
wszystkie dziwy, kwiaty, krzewy,
pioruny, brzęczenia, śpiewy...

Gdy więc ten poetyczny i wiernie w myśl intencji Racheli zrozumiany pomysł zainteresował Poetę, Rachel go pochwali: „Pan mię zajął, pan teraz poeta!“, ponieważ teraz dopiero uwierzył w ową żywą poezję przy-

rody, nas, rój jej barw, woni i dźwięków i gotów jest swoją twórczą siłą spełnić pragnienie Racheli. Porozumiały się więc ostatecznie dwie poetyczne dusze i dwie artystyczne wyobraźnie: poety tworzącego piękno i kobiety „czującej wdzięk przyrodzenia“.

Trudno naprawdę inaczej rozumieć przytoczone miejsca tekstu. Nie mogą one stanowić podstawy do snucia w oparciu o nie hipotezy o „dachach elementarnych, w szczególności dachach ziemnych i powietrznych“. Owe „dziwy, kwiaty, krzewy“ zbyt wyraźnie Rachel określa mianem „poetyczności“. Jakże inaczej postąpił Mickiewicz w „Dziadach“ każąc Guślarzowi wywoływać istotnie „duchy elementarne“. Wolno przypuszczać, że i Wyspiański potrafiłby nam dać odpowiednią wskazówkę, gdyby chciał, by pomysł Racheli był w tym sensie rozumiany. Czyż zresztą nie brzmiałoby to trochę dziwnie i nie-naturalnie w ustach Racheli?

Zbyt jednak przykre nastroje gnębiły Poetę, by mógł długo na serio myśleć o fantastycznych marzeniach Racheli. Już w poprzednich scenach „na wielką się burzę zbiera“ w jego duszy, sam cierpi, nie więc dziwnego, że idąc za swoimi myślami i uczuciami, za głosem swego bólu i rozterki pomiędzy wewnętrzną gnuśnością i pragnieniem czynu — przeinacza słowa Racheli i podsuwa Pannie Młodej projekt zaproszenia

tych, którym gdzie złe wieloności
dopiekają, — którym źle,
których bieda, Piekło dręczy,
których duch się strachem męczy,
a do wyzwolenia się rwie.

O takim wyzwoleniu marzy przecież Poeta („wielkie skrzydła porozwijać, lecieć, a nie dać się miać“) i sam zna piekło — piekło walki wewnętrznej dolegające bardziej niż otchłań, w której cierpią dusze potępione. Nie darmo przecież, gdy Stańczyk mówi:

Piekło wiem gorsze niż Dante,
piekło żywe,

Dziennikarz czujący to samo, co Poeta, wie, że nie o miejsce kary wiecznej tu chodzi, lecz o tę „walkę wewnętrzną, burzę cierpień i dorzucą: „Żyję w piekle!“ a tylko naiwna Panna Młoda zrozumie to w myśl pojęć wiary ludowej: „A po cóż te z piekła duchy?“

Panu Młodemu proponuje już Poeta tylko zaproszenie Chochła i dopiero Pan Młody doda od siebie do zaprosin owo ogólne „sprowadź jeszcze kogo chcesz“.

Żadna więc z tych osób — poza naiwną Jagą — nie myśli o sprowadzeniu duchów z za świata. Zresztą sposób, w jaki dokonuje się cała ceremonia wezwania tych, jeszcze zresztą tutaj dokładnie nie określonych gości, nie odpowiada zupełnie powadze obrzędu, którego celem byłoby sprowadzenie do izby weselnej istot nadziemskich. Nie ma w tej scenie nawet śladu powagi i nastroju uroczystości zaduszkowych „Dziadów“. Przeciwnie — Pan Młody i Jaga, a nawet sam Poeta, traktują ceremoniał zaprosin humorystycznie, śmieją się wszyscy wesoło i kpią serdecznie. Wreszcie nawet i Panna Młoda zapomina o duchach z piekła i wzywając Chochła wykrzykuje wesoło:

Jest na tyle jeść i pić!
możesz sobie z nami kpić!

Czyż jest możliwe, żeby w domu, na którego stropie jest wypisane „słowo boże“ i w środowisku, w którym myśli Haneczki, że Kosą można by ciąć „niebiosą na płaty“, uważa się za bluźnierstwo, czy w tak prostodusznie i naiwnie nabożnym tłumie wzywano tak swawolnie i lekkomyślnie istoty nadprzyrodzone?

Ostatnie trzy sceny pierwszego aktu, w których Wyspiański zawarł artystyczną motywację późniejszego zjawienia się „osób dramatu“, nie pozwalają na oparciu o nie hipotezy o ich nadprzyrodzonym, zaświatowym pochodzeniu, a nawet wyraźnie jej prawdopodobieństwo obalają.

Nadprzyrodzonej stylizacji „osób dramatu“ sprzeciwia się nie tylko żartobliwa forma zaprosin, nie licująca z religijną powagą chwili, ale też silnie podkreślona przez poetę ich zależność od dusz i myśli odpowiednich postaci oraz to, że niektóre przynajmniej zjawy, choćby sam Wernyhora a nade wszystko Stańczyk, nie zachowują się z należytych namaszczeniem i zaziemską powagą. W ich słowach ileż ironii, kpin i żartu.

III

O wewnętrznym życiu Gospodarza dowiadujemy się naprzód z ust Czepca, tego reprezentanta chłopskiego temperamentu. Od pana Tetmajera słyszeli Bronowiczanie nie raz opowiadania o sile, jaka w nich drzemie, o Raclawicach, o zwycięstwie i sławie kupionej ich krwią. Raclawice i Wernyhora to ulubione tematy rozmów i marzeń Gospodarza, a matejkowski lirnik i kosynierzy zdobia ściany świetlicy.

Do tego to człowieka zjeżdża na białym koniu „wielki duch“ — Wernyhora. Spośród wszystkich zjaw „Wesela“ Wernyhora nashuchal się najwięcej bajek o swoim piekielnym pochodzeniu, został niemal zgodnie przez interpretatorów uznany za złego du-

cha, który zwodzi i oszukuje rzetelnych ludzi, przekreśla ich plany i wystawia na pośmiewisko.

Żeby dojść do stwierdzenia, co z tego jest prawdą, trzeba zastanowić się nad zachowaniem się widma i określić, jaki jest stosunek do Gospodarza. Ponieważ Wernyhora zarzucano, że celowo mówi błaźństwa, że w całej rozmowie nie ma ani jednego rozsądnego zdania, trzeba bardzo uważnie przysłuchać się całej tej pogawędce, żeby nic złego czy dobrego, bezsensownego czy mądrego nie uszło uwagi.

Do zagadek, którymi Wernyhora sypie rzekomo jak z rękawa, należy zapowiadane przez niego „przymierze“:

Mam Asaństwu nowin wiele:
pomówimy o Przymierzu.

W świetle całości dramatu jasne jest, że Wernyhora przyszedł zwiastować (jeżeli naprawdę „przyszedł“ coś komuś zwiastować) ostateczną realizację podwójnego przymierza, z których jedno dochodzi do skutku przy końcu utworu: wymarzonego przez Gospodarza wspólnego wystąpienia inteligencji z ludem. Obok Czepca z kosą staje tam Pan Młody, Dziennikarz i Poeta. Drugie przymierze nie realizuje się (bo zrealizować się nie może), to przymierze z Bogiem: Wernyhora ma przyjechać z Archaniołem, a na zamku krakowskim ma czekać Królowa w polskiej koronie. Warto może zaznaczyć, że ów Archanioł pochodzi z „Chorału“ Ujejskiego:

I z Archaniołem twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój.

„Rozkaz-Słowo“, z którym przyjechał stary lirnik, można wytłumaczyć w oparciu o słowa Wernyhora, wypowiedziane w rapsodzie pt. „Wernyhora“, często też w rozprawach cytowanym, z którego wynika, że to tajemnicze słowo jest hasłem do czynu, do walki. Także w trzeciej scenie „Legionu“, gdy matka Makryma mówi jakby słowami „Wesela“:

Czekam go, serce gotowe

i szyje dla zbawcy chorągiew

z Matką Bożą, jako polską Królową,
pod nią wielkie wypisane Słowo:
„za wiarę, za wolność zwyciężę“.

widać, że Wyspiański używa tego wyrazu w znaczeniu „hasła“, „dewiza“, w imię której ma się podjąć czyn. „Słowo“ ma to samo znaczenie w ustach Wernyhora.

Następny cytat jest również tylko pozornym nonsensem:

Z daleka a miałem blisko...

Gdy przypuścimy, że Wernyhora to tylko obraz tego, co się dzieje w duszy Gospodarza (a do twierdzenia tego jeszcze wrócimy), to naturalnie, że miał blisko, żeby stanąć przed jego oczyma ze wszystkim dobrem i złem, które tkwiło w duszy Gospodarza. Daleko miał z przeszłości, z dawnych dziejów Polski, podobnie jak Rycerz Czarny i Stańczyk.

Łatwiej wytłumaczyć inne powiedzenie Wernyhora:

Ma być jawne, co jest kryte;
co dalekie było — blisko.
Żdź u Waści weselsko;
prawie że są wszyscy społem;

Cóż było „krytym“? Mówi o tym wyraźnie Czepiec i Gospodarz: marzenia i rozmowy wieczorne o sile, która drzemie wśród ludu, o powstaniu, które by się rozpoczęło, gdyby panowie „chcieli chcieć“. Czyż to samo, a przynajmniej początek tego ruchu, nie stało się „jawnym“, kiedy cała wieś z kosami zaczęła walić do chaty Gospodarza w tym przekonaniu, że nadszedł czas nowych Raclawic, gdy sam Gospodarz chwycił za flintę i szablę? Czyż to, co było dalekie, bo miało się spełnić w dalekiej przyszłości, czyż to nie stało się bliskie, bo realizację tych marzeń przyniósł (rzekomo) ranek weselnej nocy?

Przy pobieżnym czytaniu niezwykle bałamutnie wygląda drugi „rozkaz“ Wernyhora: gdy lud zgromadzi się pod kościołem

wtedy przykaż im ciszą,
niech żaden brzeszczot nie szcześnie,
a skoro rzesza ukleknie,
niech wszyscy nateżą słuch:
czy tętentu nie usłyszą
od krakowskiego gościńca?

Jakto: więc Wernyhora, który przyszedł rzekomo wezwać do czynu, teraz nakazuje bezwzględnie biernie oczekiwanie, bez najmniejszego nawet pozorów działania:

niech nie radzą, nie nie radzą,
jenoś niechaj w ciszy staną.

Naprawdę jednak to nie jest żaden rozkaz Wernyhora, ani bałamutny, ani też sensowny, lecz po prostu wyraz własnych pragnień Gospodarza, który chce wprowadzić bardzo, żeby to wszystko się spełniło, ale bez zbytniego wysiłku z jego strony:

„uchajcie, kochani, dzieci,
żeby to była prawda,
Wernyhora tam leci
Aniołem, Archaniołem na czele;
a tej nocy, gdy my przy muzyce,
przy weselu, gdy my w tańcowaniu,
tam kiedyś stało się tak wiele:
że Kraków ogniami płonie...“

Gdy więc całe weselne towarzystwo zabawiło się w najlepsze, miał się stać cud.

Przy tym Gospodarz byłby się już chętnie zadowolili tym, że Kraków ogniami płonie i że Malka pisze manifest, który zrobi to, co on sam miał zrobić: porwie naród do czynu.

To, co dotychczas mówił Wernyhora i Gospodarz, pozwala już na postawienie twierdzenia, że pomiędzy nimi zachodzi bardzo ścisły związek, związek podobny do tych, jakie dadzą się wykazać pomiędzy innymi parami weselników i ich zjaw: Wernyhora jest odbiciem, obrazem przeżyć, uczuć i myśli samego Gospodarza. W takim jednak wypadku nie można utrzymywać, że Wernyhora przyszedł jako zły duch go zwodzić. Wernyhora bowiem nic nie mówi takiego, czego by w duszy pana Włodzimierza już nie było. To, co Gospodarz sam mówi do swego gościa, przypuszczenie to w całej rozciągłości potwierdza.

Gospodarz nie kryje się bowiem z tym, że zna Wernyhorę doskonale, choć zaskoczony zjawą nie poznaje go w pierwszej chwili. Dopiero przypomnienie wypadków z roku 46 pozwala mu zorientować się w sytuacji:

Rzecz daleka — taka bliska,
ktoś mi znany, niespodziany,
ktoś, o którym jeszcze wczoraj
tylko we śnie, tylko w marze:

Urywek ten popiera słuszność interpretacji rzekomego głupstwa Wernyhora, popełnionego przez zestawienie owego „daleko“ i „blisko“. Gospodarz tymczasem sam powiada, jak należy rozumieć tę pozorną sprzeczność.

Lecz i treść „rozkazów“, jakie przyniósł panu Włodzimierzowi lirnik, nie jest dla niego niespodzianką:

Dawno serce już gotowe
tym wezwaniem piorunowym...
To jak ze snu prawda żywa.

Jest to więc stare marzenie ubrane dziś w realne kształty. Najdosadniej jednak mówią o tym następujące słowa Gospodarza:

czy ty próchno, czy ty czarem,
żeś ze słowem przyszedł starem,
żeś na mnie użył sposobów
i co we mnie tajemnicą,
ty mówisz jak rzecz prawdziwą;

Gospodarz więc nie dowiedział się od zjawy czegoś, czego by nie znał przed jej odpowiedzinami. Wernyhora jest tylko „ucieszeniem“ jego marzeń. Nie mógł więc „obłąkiwać“ swojego rozmówcy. Jeżeli się w ogóle na ten temat coś mówi, to trzeba chyba stwierdzić, że Gospodarz już przedtem był „obłąkany“ marzeniami o ruchu chłopskim, o tym, że „chłop potęgą jest i basta“. W tym była też największa wina Gospodarza: umiał tylko marzyć o czynie, żył myślą i uczuciem podobnie jak Dziennikarz i Poeta. To zaś, co mówi Wernyhora, mogło wstrząsnąć jego sumieniem, odezwać się w nim jako wezwanie do czynu, wyzwolenie pozytywnej siły, która tak jak u Dziennikarza i Poety była u Gospodarza przytłumiona refleksją i bezpłodnym marzeniem.

Toteż po rozmowie ze swoim gościem czuje się Gospodarz jakby odrodzony, pragnie zmiany w życiu, ale wbrew wszelkim innym twierdzeniom — zmiany na lepsze. Przeczuwa ją też wyraźnie:

Od tej pory
żyć zaczniemy — coś wielkiego!...
Jego siła mnie urzekła...

Wernyhora robi Gospodarzowi odpowiedni podarunek: daje mu bowiem siłę, której mu brak do podjęcia czynu. Pan Włodzimierz jest rozentuzjasmowany tą korzystną zmianą, jaką w sobie odczuwa:

„boś jeszcze nie pojechał:
kończył nadeż, zaczął działa...
Orły, kosy, szable, godła...
Wstają kosy w słońca świcie.“

Widać, że zwiastowany przez Wernyhorę czyn idzie dokładnie po linii marzeń Gospodarza: nowe Raclawice, Polska odrodzona przez czyn chłopski.

Jeżeli uznamy Wernyhorę za głos sumienia Gospodarza, jeżeli przyjmujemy, że reprezentuje on i wyraża tylko jego własne myśli i marzenia, to dlaczego po kilku godzinach snu Gospodarz o tym wszystkim zupełnie zapomina i tylko z wielkim trudem, w najdalszych zakątkach duszy odkrywa? Trzeba jednak pamiętać, że jest to scena symboliczna i że znaczenia jej szukać należy nieco głębiej. Stanie się zrozumiałe, jeżeli w pamięci będziemy mieli to wszystko, co powiedzieliśmy o Gospodarzu i jego stosunku do Wernyhora. Przez ten dziwny na pozór fakt, przez spór z Czepcem o zdarzenia dopiero co przeszłe, zaznacza Wyspiański, jak wielką przepaść dzieli marzenia Gospodarza od codziennego, rzeczywistego życia: Gospodarz pragnie czynu w sferze marzeń, w życiu na działanie miejsca nie ma. Miara odległości między tymi dwoma sferami jest przepaścią dzielącą sen od jawy.

IV

Na tej samej drodze szukać będziemy rozwiązania tajemnic Chochła i sposobów obalenia sprzeczności, jakie przynoszą ze sobą poszczególne interpretacje tej osoby dramatu: należy odtworzyć zamiar poety, skonstruować charakterystykę Chochła i w ten sposób odgadnąć właściwy, nadany mu przez Wyspiańskiego sens.

Ze motyw Chochola na tle jesiennej nocy zajmował wyobraźnię poety, mamy na to wystarczający dowód w malarskich pracach Wyspiańskiego — i tak, nieco po malarsku, jakby przez okno mieszkania poety widział, zjawia się Chochół w opisie dekoracji na początku dramatu: „...na deszczu i ściecie krzew, otulony w słomę, w zimową ochronę okryty“. Już w tej autorskiej informacji zwraca poeta uwagę na to, że krzew jest tu wszystkim, jest racją i powodem istnienia słomianej okrywy. Ta myśl powtórzy się zawsze, ile razy będzie w utworze mowa o Chochole. Podobnie więc powie Rachel do Poety:

Patrz pan, różę na ogrodzie,
owitą w chochoł ze słomy...

Tymi samymi niemal słowami Poeta w drugim akcie zwróci Racheli uwagę na niezwykłą rzecz:

Ktoś wyrwał krzew różany.
Rachel
Czy ten, co był w słomę odziany?
Poeta
No, ten chochoł.
Rachel
Ktoś polamał?

Gdy pod wpływem poetycznych pomysłów Racheli, Poeta proponuje Panu Młodemu, aby zaprosił do izby weselnej chochoła, „co tam za oknem skrył się w sad“, znów myślą wybiega do krzaka róży znanego nam z opisu dekoracji.

Z przytoczonych urywków tekstu wynika niezbicie, że tak sam poeta w bezpośrednich wypowiedziach na temat Chochola jak i przez usta swoich bohaterów myśli zawsze o jednym i tym samym, konkretnym w pewnym sensie krzaku róży owiniętym słomianą pałubą, stojącym w deszczu i mgie przed oknem chaty.

Któż więc zjawia się w trzeciej scenie drugiego aktu? Zapytajmy o to samego Chochola, a o to co usłyszymy:

Ubrałem się w com ta miał,
sam twój tatuś na mnie wdział,
bo się bał, bo się bał,
jak jesienny wichór dął,
zaśbym zwiądl róży krzak.

A więc i przed Isią staje krzak róży i słowa Chochola są wypowiedziane właściwie przez samą różę („ubrałem się... zaśbym zwiądl, róży krzak“).

Te urywki tekstu, jeżeli je brać zgodnie z zawierającą się w nich intencją poety, zmuszają do przyjęcia tego, że Chochół przez cały ciąg dramatu jest tym samym, dla gości weselnych realnym i zidentyfikowanym przedmiotem: krzakiem róży sprzed domu Gospodarza, owiniętym słomianą osłoną.

Wobec tak zdecydowanej i jasnej charakterystyki tej „osoby dramatu“ i braku jakichkolwiek innych określeń uzupełniających lub sprzecznych z tymi, które przytoczono, nie ma żadnych podstaw do uważania Chochola za czyjąś „imaginację“ czy też za „ducha elementarnego“, lub „starosłowiańskiego boga domowego“.

W dramacie Chochół spełnia podwójną rolę: na początku drugiego aktu zapowiada tylko spełnienie się pragnień Poety i po części Racheli i podaje ogólną charakterystykę „gości“, którzy mają się zjawić w następnych scenach. W tej wypowiedzi zawiera się również określenie stosunku „osób dramatu“ do postaci ludzkich. To, że Chochół wie, kim będą ci niezwykli goście, nie dowodzi zupełnie ich zależności od słomianej pałuby, jak twierdzą niektórzy krytycy. Chochół jest w swej pierwszej roli tylko swego rodzaju zapowiedziaczem, konferansjerem jakby, a nie czymś, co naprzykład Dibellius nazywa „figurą reżyserską“: „szczególnie dużo uroku posiada połączenie akcji i charakteru przez wprowadzenie postaci, która w tajemnicy kieruje losem bohatera i dzierży w swej dłoni wszystkie nici, lecz przy tym ona pozostaje w cieniu“. Między tym, co ma na myśli Dibellius a rolą Chochola, są zasadnicze różnice. Jest on w tej scenie tylko technicznym chwytom poety umożliwiający i uzasadniającym (zewnętrznym!) zjawienie się widm w dalszych scenach. Nie kieruje on zupełnie losami „osób dramatu“, które żyją całkowicie inną, odrębną i od Chochola niezależną logiką, logiką dusz postaci, którym się zjawiają. Jak zobaczymy, utwór tego typu, co „Wesele“, wymagał koniecznie wprowadzenia takiej postaci: widz musiał dowiedzieć się czegoś o widmach, trzeba było go koniecznie na ich pojawienie się przygotować.

W innej roli występuje Chochół w ostatnich trzech scenach „Wesela“. Tu dopiero staje się „osobą dramatu“, działa i postępuje swoim wpływem na zachowanie się weselników. Jako „osoba dramatu“ jest symbolem, symboliczne są również jego czyny. Zamiary swoje spełnia on przy pomocy Jaśki każąc mu wykonać szereg gestów mają-

cych sprowadzić czar. Jasiek też, posłuszny rozkazom Chochola, rozbraja zebranych i wtedy zaczyna się chochoła gra. „Szopka tańczy“. Jaką siłą reprezentuje Chochół, kiedy zaciera ślady porywu weselników?

W postaciach Dziennikarza, Poety i Gospodarza (tych przede wszystkim) Wyspiański odślonił duszę narodu usypianą baśniami i marzeniami o minionej przeszłości i potęgde, zapatrzoną w groby „świętych polskich“. W postaci Gospodarza zaś wypowiedział swój sąd o zachowaniu się tych ludzi w decydującej chwili, kiedy będzie można rozpocząć działanie. Zdaniem jego wezmą wtedy górę stare nawyczki duszy, która karmiona romantyczną poezją, zechce czekać na cud zmartwychwstania. Kiedy głosy sumienia uciichły, dusze pogrążyły się znów w letarg, naród zaczął tańczyć w takt usypiającej melodii. Gra Chochola jest symbolem tego wszystkiego, co usypiało i paraliżowało siły inteligencji. Przez ich sugestynny wpływ poddali się jej władztwu także i chłopci. Dlatego Chochół może sobie drwić z Jaśki:

Miałeś chamlie złoty róg,

bo już siła idei mu niestraszna, bo tylko zaczęła świtać w bronowickiej chacie w rozmowach prowadzonych przez całą noc, a zmierzających do zrozumienia, że „Polska to wielka rzecz“, że czas już dla niej zacząć żyć. Ból przeszedł, bo pod jego maską cierpiący byli „przeciętnie zdrowi“, spełniła się ironiczna przepowiednia Stańczyka: „jutro humor się naprawi“, wszystko wejździe na stare, utarte i wygodne drogi, którymi nigdzie daleko się nie zajdzie.

Dopiero przy samym końcu utworu Chochół staje się symbolem. Jest reprezentantem tego wszystkiego, co przeszkadza społeczeństwu zerwać z biernością i apatią (Chochół rozbija gości), co nie dopuszcza do świadomości nawet wezwania, potrzeby czynu (wołanie Jaśki: „chycie broni“ nie dochodzi do uszu tańczących, bo Chochół jest ciągle „nieustanną muzyką przemocy“). Zwrócono słuszną uwagę na to, że chochoł to kłosa wyniszczone, pozbawione ziarna. Jest więc on symbolem czegoś bezwartościowego, zapowiada jesień i zbliżającą się zimę, a więc pory, które charakteryzują zamarcie życia. Pod tą zewnętrzną jednak bezwartościową pokrywą — należy dodać — drzemie jakby uśpiona na pewien okres czasu, aż do zdjęcia osłony, piękna, wartościowa dusza narodu. Coś, jakby echa „duszy anielskiej w czerepie rubasznym“.

W rozwiązaniu symbolów leży zarazem wyjaśnienie myśli, którą chciał Wyspiański wypowiedzieć w utworze. Przeprowadził on mianowicie w swojej wyobraźni jakby eksperyment, aby dać odpowiedź na pytanie, co by się stało, gdyby społeczeństwo współczesne zechciało podjąć czyn dla Polski? Odpowiedź wypadła negatywnie: ludziom zabrakłoby nawet siły do podjęcia pierwszych kroków, stałoby im na przeszkodzie całe życie dotychczasowe. Naród musi się naprzód oczyścić, wyzwolić z tego ciężaru, który go przyniósł, by stać się zdolnym do kierowania losem. Wyspiański patrzył krytycznym okiem tak na inteligencję jak i na lud, który mimo całego swego temperamentu, częściowego zrozumienia swojej siły i roli, jaką mógłby w narodzie odegrać, gdyby panowie „chcieli chcieć“ — też jeszcze nie stoi na wysokości zadania. Słyszymy wprawdzie od Maryny o ich szczerze patriotycznych uczuciach, ale w czynie widzimy tylko Czepca. Młodzież zaś zapatrzona jest w czapkę z pawich piór lub w... drużki. Nie nadszedł jeszcze czas wspólnego czynu. Miasto musi się jeszcze niejednemu nauczyć od wsi: energii, trzeźwości, gotowości do czynu, a przede wszystkim wyraźnie i jasno musi sobie uświadomić cel, postawić go narodowi przed oczyma.

V

Zastanówmy się z kolei nad tym, dlaczego Wyspiański tak usilnie stara się o podkreślenie realności, jakby zmysłowej dotykaności „osób dramatu“, które nie tylko zostawiają swoim rozmówcom realne przedmioty, ale ich obecność daje się w sposób zmysłowy konkretnie odczuć.

Tu wypadnie zatrzymać się nad pytaniem, o ile „Wesele“ posiada jakiś związek z literacką atmosferą epoki, w której powstało, czy dadzą się wykryć między nim a innymi typowymi utworami tego okresu jakieś pokrewieństwa?

Jak wiadomo jest to czas, w którym główne zainteresowanie poetów obraca się dokółka zjawisk życia duchowego. Liryka to najczęściej „pamiętnik duszy“, a dramat jest przede wszystkim „teatrem duszy“. W sposób może najpełniejszy, choć zarazem najbardziej jaśkrawy, te hasła reprezentuje u nas „Confiteor“ St. Przybyszewskiego.

„Nowy dramat“, który powstał w tej epoce, przenosi konflikt i punkt ciężkości do dusz bohaterów, nie wokół nich miał się rozgrywać, ale w nich samych. Zainteresowania dramaturga ograniczają się obecnie przede wszystkim do śledzenia i przedstawienia walki między sprzecznymi siłami ludzkimi. Na tym ścieraniu się dwóch różnokierunkowych prądów ma polegać walka w dramacie. Krańcowym przykładem tego typu twórczości, w której przedstawia się życie dusz pozbawionych nawet pierwiastka taré wewnętrznych (zachodzi tu więc naprawdę tylko

zjawisko „teatru duszy“), są utwory Maeterlincka. Dla problemu „Wesela“ jednak ważniejszą okazała się twórczość Przybyszewskiego.

Wyspiański sam wyraźnie stwierdził, że teorie Przybyszewskiego wpłynęły silnie na zmianę stylu jego utworów. Przybyszewski zaś jest autorem rozprawki pt. „O dramacie i scenie“, w której twierdzi, że bohater nowoczesnego dramatu jest „zabawką, ale własnych instynktów, sporności i przełomów własnej swej duszy“. Jest to więc walka człowieka z samym sobą, „mamy do czynienia z rozlaną, rozbitą duszą ludzką. Dramat staje się dramatem uczuć i przeczuć, wyrzutow sumienia, szamotania się z sobą samym“.

Metodę, jaką posługuje się Przybyszewski w swoich dramatach tworząc ich bohaterów, opisuje w następujący sposób: „Wylawiam z duszy działającego to wszystko, co tragedię jego życia stanowi i tworzę nową postać, tworzę zatem projekcję wewnętrzną walki i rozterki, i mam od razu dwie silne i ustawicznie na siebie oddziaływujące postaci“.

Przez zastosowanie takiej metody tworzenia postaci dramatu, wprowadza się do utworu tak ulubiony środek wyrazu artystycznego, jakim w tej epoce był symbol. Te postaci-symbole „muszą być tak trzymane, aby widz przy całej pewności, że ma do czynienia z postaciami realnymi, nie przestał mieć wrażenia ich tajemniczości“. Z tego powodu Przybyszewski uważa, że dramaturg musi mieć zdolność miewania wizji, „a stosunek autora do publiczności polega na tym, by publiczność wziętą przyjętą jako fakt realny“.

Realizm „osób dramatu“ ma więc uzasadnienie w literackiej atmosferze epoki, we właściwych i charakterystycznych wówczas metodach tworzenia i typie środków wyrazu artystycznego, częstych także i w innych dziedzinach sztuki.

WACŁAW KUBACKI

Nowa Gigantomachia

albo

Obleżenie Częstochowskiej Biblioteki Miejskiej przez Bank Gospodarstwa Krajowego

Był to przez pewien czas dosyć modny sposób zdobywania domów, mieszkań, aut i innych rzeczy. Polegał on na tym, że zainteresowani roglądali się i weszli na wszystkie strony, która instytucja lub jaki urząd ma to, co było akurat potrzebne w danej chwili jakiejś innej instytucji lub innemu urzędowi i potem starano się, łagodnie mówiąc, wejść w posiadanie pożądanego obiektu. O powodzeniu decydowały stosunki w centralach. W ten sposób powstała swoista filozofia i dyalektyka twórczości społecznej i państwowej, która powiada, iż, żeby coś nowego stworzyć, trzeba przedtem koniecznie coś już istniejącego zniszczyć, inaczej bowiem twórczość nie będzie prawdziwą twórczością!

Stosunki się obecnie unormowały. Szkodliwa mentalność tzw. okresu przejściowego daje jednak od czasu do czasu znać o sobie. Oto przykład, z którym warto zapoznać szersze kręgi czytelnice, zarówno przez wzgląd na przedmiot sporu, jak i wysokie instancje, które reżyserują lub patronują poruszanej tu sprawie.

Bank Gospodarstwa Krajowego postanowił otworzyć oddział w Częstochowie. Przedstawiciele Banku rozejrzeli się w terenie i doszli do przekonania, że najbardziej by im odpowiadał budynek i lokal, zajmowany przez Bibliotekę Miejską! Okazało się, że warunkiem gospodarczego szczęścia Częstochowy jest ciemnota obywateli, że trzeba zlikwidować Bibliotekę Miejską, żeby założyć filię B. G. K.!

Czas się jednak unormowały. Więc przedstawiciele Banku, nie mogąc opanować gmachu Biblioteki Miejskiej im. dr Wł. Biegańskiego za jednym energicznym, organizacyjnym i twórczym zamachem, to znaczy nie mogąc wyrzucić na ulicę książek, szaf, stołów, czytelników i urzędników bibliotecznych, przystąpili do regularnego obleżenia. Latają kurierzy między Częstochową i Warszawą. Bank coraz to sprowadza posiłki. Zarząd Miejski broni się rozpaczliwie i robi odważne wybieżki (do Warszawy po sukurs). Miejska i Powiatowa Rada Narodowa walczą jak dwie lwy z emblematu zakonnego OO. Paulinów (dwa lwy spierające przednie łapy o palmę witają pielgrzymów, z mozaiki zaraz przy wejściu w obrob klasztoru). Przeciwnicy sypią aprosze, zakładają miny, ryją podkopki; podobno nawet ogłosili zaciąg ochotniczy pośród miejscowych kretów. A odsiecz nie nadchodzi. Natomiast nadchodzą wieści, że Ministerstwo Oświaty zostawia co do Biblioteki wolne ręce Bankowi, a właściwie Ministerstwu Administracji. Ładna opieka nad placówkami oświatowymi!

Częstochowa jest bezbronna wobec natrętnych dobroczyńców z Warszawy. Dzieje się krzywdy miastu i kulturze. Biblioteka Miejska im. dr Wł. Biegańskiego zebrała już swe

Wszelkie hipotezy o nadzmysłowym pochodzeniu „osób dramatu“ muszą odpaść także wobec faktu, że Wyspiański przenosi się niejednokrotnie z innych dziedzin sztuki do swego utworu, przede wszystkim z malarstwa i w pełni zachowuje świadomość ich pochodzenia. Słusznie więc zwraca na to uwagę Makowiecki („Poeta malarz — studium o St. Wyspiańskim“, Warszawa, 1935), że postaci te pochodzą z innej rzeczywistości, „a więc jednak z rzeczywistości, nie z imaginacji autora“ i nie ze świata nadprzyrodzonego.

Musimy się zgodzić z Makowieckim, gdy stwierdza, że Wyspiański „uniką fikcji imitujących rzeczywistość, a nie mających odpowiednika egzystencjonalnego w świecie“. Wprowadzając do swoich utworów postaci na ogół znane, popularyzowane np. przez malarstwo, uzyskuje poeta przejrzystość i jasność swojej symboliki.

Że Wyspiański był świadomy związku, jaki zachodził pomiędzy jego poetyckimi utworami a np. sztuką Malczewskiego, warto może przytoczyć na dowód fakt, że poeta postać wielkiemu malarzowi egzemplarz „Wesela“ z zakreślonym fragmentem 24 sceny pierwszego aktu jako wyraźne nawiązanie do obrazu Malczewskiego pt. „Zatruta studnia“. Jeżeli zaś chodzi o postaci Stańczyka i Wernyhory, nie trzeba szerzej wspominać o ich zależności od sztuki Matejki.

„Osoby dramatu“ w „Weselu“ są więc symbolami dusz najważniejszych postaci. Wprowadza je poeta na scenę stosując równolegle do metody symbolicznej metodę imaginacyjną, narzuca widzowi w sposób dyskretny pewne tylko elementy ludowej wiary, aby ułatwić przyjęcie naprawdę niezwykłego pomysłu wprowadzenia do utworu „osób dramatu“ i przez konwencjonalne motywy osłabić reakcję na śmiałość scen symbolicznych.

Stanisław Gerstmann

rozproszone i mocno nadniszczone czasu wojny skarby, otworzyła jedyną w mieście wypożyczalnię, urządziła lektorium i wspaniale wyposażoną czytelną czasopism. Tu koncentruje się całe życie kulturalne miasta, gdzie działa kilka Zawodowych Związków Kulturalnych i Klub Literacki. Tu odbywają się ich zebrania i posiedzenia, tu pracują różne sekcje i tu są co czwartek odczyty i wieczory dyskusyjne.

Ani Zarząd Miejski, ani mieszkańcy nie biorą poważnie pod uwagę oferty B. G. K., który obiecuje wyremontować inny gmach dla Biblioteki i ponieść koszty przeprowadzki, bo wszyscy dobrze wiedzą, że odpowiedniego budynku wolnego w mieście nie ma. Odstąpienie tedy lokalu Biblioteki Bankowi Gospodarstwa Krajowego równałoby się zamknięciu Biblioteki na nie wiedzieć jak długo. Poza tym nikt tu się nie chce i nie może pogodzić z demagogiczną alternatywą: Bank czy Biblioteka, pieniądź czy oświata, bo dość długo i systematycznie kładziono wszystkim obywatelom do głowy, że w nowej demokratycznej ojczyźnie nie będzie frymarzenia interesami ludu i żonglerek, godzących w oświatę i kulturę mas robotniczych.

Jest potrzebna oświata i jest potrzebny ruch gospodarczy. Musi pozostać Biblioteka Miejska i trzeba znaleźć bankowy lokal dla Banku Gospodarstwa Krajowego. I nie jest to takie trudne, jak twierdzą wtajemniczeni, tylko trzeba chcieć szukać. Częstochowa ma aż pięć banków: Emisyjny, Handlowy, Ludowy, „Społem“ i KKO. Pomiędzy oddział Banku Emisyjnego, jako instytucję specjalną. Weźmy pod uwagę inne. Z wyjątkiem banku „Społem“ wszystkie inne banki, posiadające piękne domy, nie mają w tej chwili wskutek zmian ustrojowo-gospodarczych nawału pracy i klientów. W tej sytuacji bankowej robotnicy i inteligencja pracująca nie mogą zrozumieć, dlaczego wspaniałe apartamenty KKO, Banku Handlowego lub Ludowego mają świecić pustkami, a Bank Gospodarstwa Krajowego musi koniecznie wyeksmitować i co w tym wypadku na jedno wychodzi zniszczyć, wyłaczyć z życia na dłuższy okres czasu, jedyną w mieście wypożyczalnię książek i czytelnice.

Mieszkańcy Częstochowy boją się zupełnie słusznie, że jak dziś straca Bibliotekę na rzecz Banku, to jutro jakaś inna instytucja zamieni im teatr na centralę handlu węglem, pojutrze zaś jakiś inny urząd wystąpi z żądaniem oddania kilku szpitali na magazyny monopolowe, albo o przebudowanie paru gimnazjów na młyny motorowe albo o przymusowe wydzierżawienie kilkunastu szkół powszechnych na lokale rozrywkowe. A wszystko to w celu zwiększenia dobrobytu miasta i uszczęśliwienia mieszkańców.

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy!...

Wacław Kubacki

INOWROCŁAW - ŹRÓJ

Wskazania: wszelkie schorzenia stawów i kości, reumatyzm, artretyzm, ischias, choroby serca, choroby kobiece i dzieci.

Kapiele solankowe, borowinowe, kwasowęglowe. Wodolecznictwo - inhalatorium - basen kąpielowy. Prospekty wysyła Zarząd Źdrojowski. 222

JÓZEF SIERADZKI

Józef Opałka zbiera miny

Napięcie w głównym, międzynarodowym polu krzyżowania się sił wyraziło się od razu w wielu krajach, a nie mniej i w Polsce. Dało się ono odczuć w nastrojach i wywołało zaostrożenie w życiu politycznym. Niby marionetki poruszane obcymi rękami poczęły ludzkie grupy wykonywać szybsze ruchy. Wzrosła szep-tana propaganda i informacja. Zaszumiła gło-sniej las. Dało znać o sobie podziemie zwięk-szoną liczbą zabójstw i napadów. Chwilami wydaje się, że weszliśmy w stadium cichej interwencji.

W miarę jak światowy widnokrąg polityczny będzie się przejaśniał, interwencja będzie się u nas cofała — na zarządzanie zagranicznych dysponentów, gdy zaś przeciągać tam będą chmury — a zdarzy się to zapewne jesz-cze nieraz — cień ich padnie na nas. Taka już jest niestety, z łaski „patriotów“ orientacji londyńskiej, suwerenność nasza, że targi wielkiego kapitału o pola oleju skalnego w Iranie, rozlegają się echem wystrzałów pod Białym-stokiem i w lasach Kielecczyny, a dawny pod-niosły ruch oporu uległ zupełnej degeneracji.

Czytamy więc coraz częściej: wieś Zalesza-ny — 14 chłopów zabitych, 41 domów miesz-kałnych i 65 gospodarskich budynków spalo-nych, 473 sztuki bydła i nierogacizny uprowa-dzone; wieś Wólka Wyganowska — 2 zabi-tych, 40 budynków spalonych, 42 sztuki in-wentarza zabrane; wieś Zanie — 24 zabitych, 57 budynków spalonych, 159 sztuk inwentar-za... W Nowotarskiem, Sądeckiem, Rzeszow-skiem bandy Burego, Ognia...

Towarzyszy temu atmosfera „mitu“, nimb bohaterstwa, subtelne teorie filozoficzne o in-determinizmie i spekulacje mesjanistyczne. Stare ośrodki, omszałe, przybrane w grono-staj hodują je nieustępliwie, nadążają z mo-ralną podbudową i ideową nadbudową dla po-myleńców, tumanionych, zabiłakanych, znie-prawionych. Pod akompaniament wyszuka-nych teorii idealistycznych padają serie z au-tomatów, strzelają „chłopcy“ z zarośli przydro-żnych i zza węgla.

Ale potwornym zjawiskiem demoralizacji i rozluźnienia obyczajów mało kto się zajmuje. Po faszyzmie i wojnie panuje ono w całym świecie, zwłaszcza na obszarach, przez które przetoczyła się burza — jest i unas. Najgroźniej-sze ze stanowiska przyszłości są jego sympto-my przejawiające się w młodym i dorastają-cym pokoleniu, które nie mogło bezkarnie sły-szeć i widzieć tego, co działo się wokoło i bez głębokich następstw wrażało w atmosferze wszechobecnej zbrodni, okrucieństw, deptania prawa, grabieży, oszustwa i cynizmu. Gdy na polach pod Lwowem, nad Pełtwią, po nalo-cie, walały się trupy i strzępy ciał ludzkich, zmasakrowanych bombami, Wacław Mejbaum, wtedy dozorca w zakładach kanalizacji, wi-dział jak podmiejskie paupry głowami zabi-tych grały w piłkę nożną. Czego można ocze-kiwać od dzieci, którym zły przypadek na-sunął na oczy SS-manna, strzelającego matkę z niemowlęciem, gdy gramoliła się z kanału, szukając ucieczki z płonącego ghetta? Albo „Ukraińca“ z SS-Galizien, który wystawiał na sprzedaż złotą szcękę wraz z krwawą, odrą-baną głową?

Co dziwnie, że po latach zaprawy 12-letni uczniowie w jednej ze szkół powszechnych w Krakowie, gdy nauczycielka omawia z nimi skład narodowościowy Polski przed wrześniem, zakrzykują ją:

- Wiemy, wiemy, byli Żydzi!
- Nie tylko Żydzi — próbuje nauczycielka opanować swą gromadkę.
- Ale Hitler ich wyłupił. Szkoda tylko, że trochę zostawił jeszcze!
- Co dziwnie, że któregoś dnia na Śląsku

dwa 15-letni chłopcy zostają ujęci pod zarzu-tem zabójstwa dokonanego na kobiecie, a pod-czas badania jeden z nich wyznaje, że już przedtem popełnił dwa morderstwa.

Jest pamięć widzianej zbrodni, jej pochwała i naśladowanie.

Na tym ponurym tle rysuje się sprawa 17-letniej rozpustnicy i 20-letniego zbrodźca, którzy na zimno dokonali w Krakowie mordu na osobie swego znajomego, a po morderstwie — grabieży. Sprawa Jolanty, ziemiańskiej córki, Wróblewskiego, syna lekarza, potomka znakomitości w naszym świecie naukowym, i ich ofiary, która nie wytrzymała nacisku pię-ciu lat zamknięcia w obozie jenieckim, — nie ma charakteru politycznego. Sprawa leśnych i miastowych chłopców ma podłoże i treść po-lityczną. Tkwi ona również w nastrojach dziewcząt i chłopców po miastach, którzy da-ją rekruta, im młodszy tym więcej, akcjom po-litycznym dyrygowanym z daleka, używają-cym najchętniej ślepego a posłusznego na-rzędzia.

W Krakowie 3 maja biegli ulicami ma-lutcy harcerze, wyrostki i podlotki, którzy rokrocznie w ten dzień maszerowali w po-chodach. Obecnie oni i one, których zeszyty roją się jeszcze od ortograficznych błędów, wznosili bezkrytycznie okrzyki przeciw temu co postępowe, a co gorsza prowadzeni przez wytrawnych organizatorów, wznosili ręce w faszystowskim pozdrowieniu.

Inne podrostki przeszły już próg, zza któ-rego powrót jest trudny. Nie jest tajemnicą, że wykonawcami „wyroków“ bywają gimnazjali-ści z drugiej i trzeciej klasy.

A jednak wszystkie sprawy, od Jolanty do „naszych chłopaków“, choć tak bardzo różne w swej treści, że nieporównywalne, wyrastają z jednej gleby i jedne mają korzenie.

Jolanta wyrosła w dobrobycie, w klimacie ciepłarni a jej wspólnik chował się w rodzi-nie, która dała Polsce jednego z wybitnych uczonych. Śledząc pochodzenie, trafiamy na szczyty towarzyskie. A przecież środowisko to nie uchroniło owych dzieci od zepsucia i upad-ku, nie opancerzyło przed pokusami wczesne-go użycia, deprawacją nocnego lokalu i nocy lat okupacji a na koniec przed katastrofą zbrodni. Jolanta będzie sądzona przez sędziów, ale sprawa Jolanty jest symptomem choroby społecznej.

W tym samym czasie rówieśnik Jolanty, Józef Opałka ze wsi Jastżębiec w gminie Wo-licz, który być może jako dziecko miał duży od postnej strawy i kartofli brzuch, na pe-wno jeden z tych, co rośli w Krzywdzie Gór-nej i Krzywdzie Dolnej, Naprawie i Jordano-wie, Pokrzywinie i Pogńebinie, — chodził po polach i odebzepczył własnoręcznie 7450 min, założonych przez Niemców, nie biorąc za to żadnego wynagrodzenia. Jego brat — nie zna-my go z imienia — został rozerwany przy se-nej minie. Ale Józef Opałka mimo to wysa-dził miny w dalszym ciągu i jeszcze wędruje po polach.

Kobiety uwięzione w baraku 213 w Oświę-cimiu знаły Salę, maglarę z Krakowa, która — jak opowiada Pelagia Lewińska we wspo-mnieniach z obozu w Oświęcimiu — z naraże-niem życia organizowała pomoc towarzyszkom niedoli. Podobnie działała Janka, nauczyciel-ka ludowa, dostawczyni czystych koszul i cie-płych skarpetek dla więźniów. Sama Lewiń-ska — Barbara oddała Żydówkom ostatni ku-bek wody, który zdobyła, wystając wiele go-dzin w koleje. Córki i synowie młodych warstw, dzieci ludu, w przedśionku śmierci, w barakach z widokiem na piec, zdobywali się na nadludzki wysiłek zmagania się z po-gardą. „Jeszcze raz wam powtórzę — uczy Lewińska z rzeczy przeżytych — że więcej nas kosztowała trudu, cięższa dla nas była walka moralna, niż walka z potwornymi warunkami, które niosły śmierć“.

A kto podjął trud przywrócenia moralności, gdy minęła niewola?

Może posiadający dawne prawo na naukę o cnocie i miłosierdziu? Czytamy ich prasę i widzimy ile miejsca poświęca walce z za-bójstwem na szosach, terrorem w domu, strza-lami w potylicę. Sumienie schowało się za chmurę, a przez mgłę metafizyki nie widać ani dyrektora gimnazjum w Radomsku, za-strzelonego i wdeptanego w kałużę, ani bez-bronnej 17-letniej dziewczyny żydowskiej, wywleczonej z auta pod Łodzią i zabitej w przydrożnym lasku.

Niedawno odbyły się w szkołach rekoлекcje. Ile w dniach, poświęconych na nie, mówiono o tym palącym sumienie temacie, o prawdziwej miłości bliźniego ilustrowanej aktami natychmiastowej reakcji na krzywdę i zło, o szacunku dla prostego człowieka, ofiar-ności społecznej? Uczono, biorąc przykłady z dnia, że zabijanie jest kainową zbrodnią a polowanie na niedobitki śmiertelnym grze-chem i samobójstwem duchowym? Wspomi-nano poległych pod Lenino i Dreznem, zano-szono modły o wieczne dla nich odpoczywa-nie?

Jesteśmy świadkami emigracji moralnej.

Duchowieństwo przygląda się jej przeważnie biernie, jeżeli nie bierze w niej udziału i tyl-ko słaby głos neokatolików podniósł się na chwilę. Także szkoła pozostała, na ogół, twier-dzą alibizmu. „Nałożono na nas obowiązek“, „w myśl zarządzenia władz należy“, „wyko-nując polecenie zawarte w okólniku...“ — tak torpeduje się wysiłki wychowawcze władz. Jeżeli nawet na ścianach zawieszono nowe portrety, w salach szkolnych tłuką się stare duchy. Franciszka Gila chłopskie gimnazja w hrabskich pałacach są wyspami, a robot-nicze dzieci nie we wszystkich szkołach czu-ją się jak we własnym domu. Nauczycielka geografii mówi z przekąsem o nowym ustroju rolnym, a ci i owi odważniejsi uczniowie pró-bują bronić reformy rolnej przed autorytetem z katedry.

Wobec bierności starszych należy być zado-wolonym z młodzieży, że zdradza mało obja-wów rozstroju. Że w masie swojej zdrowym instynktem docenia wysiłek twardych, spra-cowanych rąk, które zapewniają jej miejsca na ławkach szkolnych i jakie takie warunki życia i pracy. Że wróciła do nauki, poczucia obowiązku, posłuchu dla autorytetu. Że stu-denci zapełnili wydziały uniwersytetów i do-bijają się wiedzy, cierpiąc niejednokrotnie nie-dostatek, przepychając się przez trymestry z pomocą bratniaków. Że nie pociąga ich łat-wo, wulgarny zarobek, a górę bierze zdrowe wyczucie, że trzeba się uczyć i przysposabiać do pracy. Setki słuchaczy wypełniają od razu nowozałożoną uczelnię w Krakowie. Mamy chlubną inflację wyższego szkolnictwa, a pa-czkujące wszechnice na znów polskich zie-miach zachodnich dają dowody zdrowego roz-woju.

W tym, że młode warstwy społeczne wysu-wają na jedno z naczelnych miejsc zagadnie-nie moralne, jest głębokie uzasadnienie. „I te-raz wam powiem najważniejszą prawdę. Pra-wdę, którą trudno mi było poruszyć i wyja-śnić we wszystkich ustnych referatach. Tą prawdą jest to, że dla nas, którym dane by-ło przetrwać i pokonać potworne warunki ma-terialne, nie brud, wsz, pluskwy, ciężka pra-ca, bicie przez Niemców były najcięższymi do znoszenia przykrościami, ale gnój moralny, sto-sunki wewnętrzne między więźniarkami. To było najpotworniejsze, to była najbardziej okropna męka.“ I wyszedłszy z obozu na wol-ność Lewińska wie, że „bakcyła hitlerowskie-go, wbiłego pałka, wżartego korupcja i wyra-finowaną intrygą — trzeba będzie długo, uparcie usuwać z zatrutych dusz ludzkich“. Stojąc w szeregach bojowników o wyzwole-nie społeczne i narodowe, świadoma swego idel od lat, Lewińska jeszcze nie otrząsnęła się z grozy obozowej, a już podejmuje jedno z najważniejszych zadań: odbudowę moralno-ści. „Są tacy, którzy będą musieli okupić sa-mozaparcie i pracą swój brak mocy ducho-wej. Są inni, których trzeba będzie leczyć, by przywrócić im ludzkie uczucia, normalny in-stynkt gromadki — najszlachetniejszy z in-stynktów człowieka. Są wreszcie tacy, których hitleryzm do cna zdeprawował...“ (Pelagia Le-wińska (Barbara). Oświęcim. Pogarda i triumf człowieka (Rzeczy przeżyte). Książka Polska we Francji. Paryż 1945).

Oto kto podnosi problem odbudowy mo-ralnej!

Zasada, że warunkiem poprawy człowieka jest przebudowa społeczna, nowy ustrój go-spodarczy bez wyzysku i zagarniania wytwó-rów cudzej pracy, usunięcie antynomii między społecznym charakterem wytwarzania a pry-watną własnością wytworów — jest spiżowa. Ale już dziś, na etapie, robotnik, chłop i wy-zwolony ideowo inteligent rozumie koniecz-ność natychmiastowej walki ze złem i potrze-bę konstruktywnego wysiłku w dziedzinie ety-ki. Im przychodzi ustalić nowe prawa i przywrócić treść zwietrzałym słowom. Dokonać reformy, od której zależy oblicze nadchodzą-czego pokolenia, to jest obecnej młodzieży.

Pustka musi być wypełniona od razu tre-ścią. Taką, by porwała wizją pól malowanych zbożem, motorów dyszących siłą, skrzydeł czu-wających górą nad bezpieczeństwem, okrętów ładownych ciężko dobrem, dróg, szpitali, do-mów zdrowia, dziecińców, świetlic, książek, szkół, wszechnic, dzieł sztuki, poezji. Polski nie z urojenia lecz rzeczywistej, która raz wre-szcie jest nad Bałtykiem i Bałtyku, na którym nareszcie nie ma Niemców. Państwa, co prze-stanie ginać co kilka dziesiątków lat i będzie żyło nieprzerwanie. Co nie zaniedba nic, by upewnić i ubezpieczyć naród i uczyni wszyst-ko, aby nad Wisłą i Odrą młodzież rosła w swobodzie. Wobec tego zadania wszystkie nasze kwestie i wewnętrzne spory mają kar-łowate wymiary. Jeżeli możemy się spierać, to zbytek ten zawdzięczamy potędze Czerwo-nej Armii. Ale trzeba, aby u nas wyrósł ten odcinek wału, bez którego nie obejdzie się, gdy oszołomione jeszcze pogromem Niemcy, powrócą do sił. Zapora, dzięki której układ polityczny bez Niemców we Wrocławiu i Szcze-cinie zyska twardość granitu. Jakżeż małucz-kie są wobec tego walki o liczbę mandatów, jak odległe od rozumnej szkoły politycznego myślenia!

Trzeba zorganizować ideowy bunt młodzie-ży, silny poczuciem społecznej krzywdy, którą obala nasze pokolenie, przeprowadzając spra-wiedliwy podział własności ziemskiej i uspo-łecznienie podstawowych środków wytwarza-nia. Silny romantyką pracy uspołecznionej jednostki, świadomej, że najkorzystniejsze wa-runki dla rozwinięcia działalności znajdzie ona w ramach zakreślonych dobrem społecznym, jednostki zdolnej do stosowania rozumu jako rozstrzygającego instrumentu, a użyteczności społecznej jako probierza w samodzielnej oce-nie zjawisk życia w świecie. Obywatela, który zdobędzie tajemnicę powiązania świadomości narodowej z integralną łącznością interesów i celów wszystkich miłujących wolność na-rodów. Przyswoi sobie katechizm demokraty-czny głęboko, bez wewnętrznych zastrzeżeń, reservatio mentalis, na „lepszego jutro“ i bez po-litycznego wallenrodyzmu. Zespoli w sobie harmonijnie najlepsze pierwiastki romanty-zmu i pozytywizmu. Politechnicyzmu i huma-nizmu.

Nasza młodzież musi żyć romantyką patrio-tyzmu, w którego imię lała się znów krew polska w całej Europie i na jeszcze dwu kon-tynentach, romantyką rapsodu, jakimś nie było równego nawet w słynnym roku „owym“, gdy urodzeni w niewoli, okuci w powidcu, da-wali Polacy życie za obcą sprawę i bez zbie-rania owoców. Na tym samym szlaku, od Mo-skwy po Lipsk, gdzie padły tysiące Polaków, teraz błądzą się znów polskie dywizje. Wtedy pod Lipskiem, teraz pod Dreznem, dając ciężką ofiarę krwi, w ostatnim jeszcze momencie wielkiego, wstrząsającego światem dramatu. Żaden wróg tego nie obali i żaden patriota nie wspomni bez dumy, że polska młodzież masowo, w pułkach i dywizjach, formacjach czołgowych i eskadrach samolotów — była ra-zem z Czerwoną Armią, armią, która rozbiła Niemcy, i że Polacy zdobywali dzielnice Ber-lina.

Trzeba nowego Thorwaldsena, aby obok pomnika ks. Józefa stanął pomnik człowieka nie z rodu Poniatowskich, ale z ludu, nie spod znaków Bonapartego, ale kość z kości Wa-ryńskich, Okrzejów, Niedziałkowskich i Fików. Nie wydęty mit o dziesiątkach z Oleandrów, lecz prawda o Polskiej Armii ze Wschodu, o polskim ruchu oporu i polskich formacjach na Zachodzie, realistyczna jak krzyże rozsia-ne na długich szlakach, romantyczna jak ko-ściuszkowska insurekcja, jak noc listopadowa, tym od nich różna, że uwleńczona wyzwole-niem.

Musimy stworzyć obraz tej prawdy politycznej, gospodarczej, społecznej, militarnej, na-rodowej, mit wystarczający dla wielu poko-leń. Dajmy dzieciom romantyzm rozumnej ofiary, po tylu zawodnych próbach — zwycię-skiej. Gdy urosną, niech wezmą udział w bu-dowaniu państwa moralności i etyki tam, gdzie buszowała krzywda i grabież, a dziś wzrastają nasze osady i polskie ręce rozbijają ekrazytem pokłady węgla, kradzionego w cią-gu tylu dziesiątków lat przez Niemców.

Wykładnikiem młodych naszych dni jest nie Jolanta i nie „chłopcy leśni“. Jolanta będzie ponurym wspomnieniem czasów, gdy stary ustrój, z dawna zgłny moralnie, walił się w gruzy, przysypując i dobrych i złych. „Le-śni chłopcy“ — w najlepszym wypadku i beznamiętnej ocenie, — są epigonami, ga-tunkiem ludzi, którzy spóźnili się w drodze, zabiłakali w nowym świecie, nie rozumieją go i nie należą do niego.

Opałka zbuduje Polskę. Kraj z młodzieżą ufną w siebie, rozumną, zdrową na cele i du-szy, pewną, że każdy może pracować wedle swojej zdolności a wszyscy mają wspólny, silny dom.

Józef Sieradzki

ANTONI OLCHA

NOWA
NAPRAWA

Str. 165 Cena zł 80

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

229

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA
WIELOPOLSKI

Str. 132 Cena zł 100

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

230

ZDZISŁAW OLSZEWSKI

Najduch

Bez czapki, w zmiętoszonym odzieniu, począł biec ku hań widniejącemu lasowi. Biegł zrazu szybko, chwiejnie, roztrącając nogami głębokie i sypkie zaspy śnieżne. Krople krwi, wiszące u nosa, szybko na mrozie krzepły i tylko czasem, charknąwszy, wypływał jeszcze różową pianę, a śnieg ją przygarniał, skrywał głęboko.

Rychło się jednak zmęczył i zwolnił biegu. Kłęby pary, buchające z gęby, stygły w okamgnieniu w delikatny szron. Zimno było tęgie. Do wiejskiego lasu jakoś go nie czuł, ale kiedy się przez te chuderlawe, chłopskie smreczyny przedarł, wiatr się ku niemu od pustych pól poderwał, zahuczał ponad obnażoną jego głową. Włosy garściami lodowistymi ułapał i mierzwił je dowoli.

Wokole ino śniegi i śniegi. Niebo było czyste, przybladłe kapusie na odwieczarz, zróżowiało. Czasem u zbocza Babiej Góry jawił się białawy obłok, chwilę zwisał nad ziemią niby kłęb trzymanej w garści wełny i znikał, nie dosięgnąwszy twarzą słonecznej, co się hańzaś płoniła zachodząc.

— Pieskie zimno. Zeby to choć cōpkę być wzion. Hale! Móg se brać!...

Zacisnął silniej strzępiastą kapotę i zwolnił całkiem. Szedł, obzieraając się czasem poza siebie trwożnie. Zwolna gniew u niego uchodził. Odczuwał zaś coraz dotkliwiej zimno i dziwną słabość w piersiach.

Na imie mu było Sobuś, a po matce pisał się Kielasek, bo ojca nifto nie znoł. Najduch i tela! Dwaścia roków zywili „toto“ z lutości ludzie, bo ani to chłop był, ani pastuch. Niby po prowadzie godając, to Sobusiowi nic na pozór nie brakowało. Kapusie był ino siurówka. Kapusie za niski (zaśby bieda!), cos, kiej krzepy to już nijakiej nimioł. Kiej się ino chyciul bylejakiego robienia, zarosinek się zadychawil doznaku. To tyz lutowali się nad nim docasu ludzie, mientkie serca majom ponieftórzy, a ostatnio Kuba znad Brzyzka na zimowisko go przyjon, za to — Paniejezusicku ratuj! — sługowanie. Beło tyz śnim strapienia, ale i śpasu coniemiaara. Barz już dawno, z wiesnom uradzili syćcy we wsi, coby Sobka do pódcia we świat namówić. — Pódzies se Sobuś hań na gościniec, co wis... i pódzies se późni gościniecem we wte, abo we wte strone, z dobrawoli. Ludzi lutościwych na świecie kupa, to cie pewnikiem fto przygarnie na zimowisko, za belejakom robote. Dyc som wis Sobuś, we wsi nie letko! Ba! ciężko okropesnie. Ftoz cie tu zaś utrzymie? A hań — ho! ho! — ludziska hań zrejom ino miso, a spyrkom to palom...

Zasumitował się na to syćko hawten i hańten i Sobuś uwierzył. Pozegnali go barz piknie. Wepchneli skibke chleba ze serem do garzci i Sobuś posed. Dosed do gościńca i naroz taka go tęskność chyciła! Grdyke mu coś pazurami objeno, a nogi kiejby fto w ziem wkopoł. I zawrócił. Zrazu polami, zdala ode wsie. Abo lasem, wyrębami, ku smyntorzowi. Zarosinek go tyz ftoś napotkoł.

— O rety, Sobuś, jezdeś?

A Sobusiowi ino ocy lotajom i becy.

— Godoj-ze, pocóżeś się wrócił bęsiu zatracony?

— Przeboccie... Filecke... Inok się z matusińnym grobeckiem nie pozegnoł...

Ale minęło lato i Sobuś zaś na zimowisko we wsi ostoł. Spasowali z niego, co hej! Bez całą zime naśmiewali się ludziska z tej Sobusiowej wanderki we świat i kleli go, wyzywali — bili nawet. Sumitował się wtedy Sobuś co raty! Nigda już do wsi nie wróci. Pódzie się z wiesnom i... Zarosinek na przedwiośniu, kiej fto ino Sobusia uwidziol to do niego:

— Wis ty Sobuś, słonko doskwira, wiesna idzie... Pódzies se od nos bidoku na wanderke, pódzies. Nie po próżnicy bez całom zime odgrazujes. Pódzies już bęsiu zatracony. Ino se o matusińnym grobusiu nie zabac, ty kundelu jeden.

Wstyd to w takich razach Sobusia aze do zimi tarasił. O, dyc honorny był w sobie. Wi-dzieli to pewnikiem matula, bo casem, kiej go założeś chyciła, sed na smyntor i hań nad grobem matusińnym krzycoł. O, był w sobie honorny! Ino widać z Bóski Wóli tak na filecke... Syśko na filecke.

Sumitował się na syćkie świentości, co tu już nigda-nigda nie wróci. Pódzie se we świat. Znańdzie se robote inksom, letkom. Nie ostanie haw, coby go bele fto bił i napastował.

Odchodził. Roz aze z pół kilometra gościńcem used i, zawždy wraco... O Sobusiowy żalu! Strach go koszuła zimna odziewał przed nieznanym, dalekim, obcym światem i tęskność za wsiom okropesna, Jezusicku! Póki go głód nie wygnał w lesie sledziol i w lesie, w cetynie spał. Ze tyż nie zmarzł — cud Boski. Ale potym, kiej zaceno mu bebechy wywracać, a we łbie łupił, coś go za kudy chytał i ku wsi pchał.

Znajdowali go najczęściej zemdlatego z głodu u proga, abo na smyntorzu na grobie matki. Z podobitymi, sinyimi oczyma, chudy i wylekły wałesał się potem po wsi, złowrogo patrzając, głuchy na wszystko, na długo.

Huczy wiat. Prószy śniegi bieluchne i zimne w twarz Sobusiową.

Beł u Kuby znad Brzyzka. Robił przecie, co ino móg. Od zarania do nocy. Bez całusienkie lato. Godali, ze go za to przezimują. — E, psy pierońskie! Zryzali za niego. Sturchali o bele co. Napastowali: a najduch, a bęś i gozy jesce. Nic nie godoł, nie ciumżył. Byle do wiesny. A tu dziś... E, psy pierońskie!

Przychodził do niego Kuba i pado srazu grzecnie:

— Musis se Sobuś od nos iść. Myśle co we świat. Takeśmy z całom wsiom uradzili...

Sobuś się z frasunku aze zadychawil.

— Gdzies jo w taki kiepski czas pónde? Kiej-byćcie mie z wiesnom wygóniali, tobyk se posed. Ale teroz...

— Aś mendlara. Z wiesnom... A do wiesny to my momy skróś ciebie z głodu zdychać?

— Moićciwy, gdzie to teroz pónde?

— Dwaścia roków mos, to se Sobuś jakosi poredzis. Nifto cie we wsi nie przyjmie, bo som wis, co tu nikomu nie letko.

— To już na cōkiem...

— Jakzeby inaczej?

— Zlutujcies się, gdzie jo pónde...

— Twoja wola Sobuś. Nie mogemy cię tsymać. Zbiroj się poki jesce widno. Portki, te coś nom doł na przechowisko, mos haw i skibke chleba. Do gościńca dowszies, a późni to cie jakosi Panjezusicek dowspomozie.

Nie beło rady. Zacon się Sobuś zbirać. A Kuba nad nim bez cały cas stoł.

— Dejciez mi te portki, byk se je móg spa-kować. Kozuch to na siebie nawdzieje, bo mróz okropesny...

Kuba pozoł na Sobka spode łba, chrząknął i pado:

— Niby jaki kozuch?

— No dyc ten, co mi po matusi ostoł i ftoży wom dołek na przechowanie.

— Portki żeś doł, ale kozuch...

— Dyc-ek go wom som doł, Kubo...

— Nii...

Chyci Sobusia złe przecucie.

— Moićciwy, widziółek go som w wasy skrzyni. Tom go moze wasyż babie doł...

ALINA ŚWIDERSKA

Czy naprawdę koniec „legendy“?

W nr 66 „Odrodzenia“ Leonard Podhorski-Okołów w artykule „Czy nie koniec bałamutnej legendy?“ poruszył kwestię stosunku Mickiewicza do Karoliny z Rzewuskich Sobańskiej, oraz czy i o ile była ona źródłem natchnień niektórych jego utworów lirycznych.

Ponieważ od kilku lat pracuję nad powieścią biograficzną o Mickiewiczu, czuję się uprawniona do zabrania głosu w tej sprawie. Praca moja wskutek warunków wojennych przeciągnęła się niepomierne długo, co jednak miało tę jedną dobrą stronę, że zdołałam dzięki temu wnikać głębiej w duszę poety.

Zważywszy, że moja praca nie jest monografią naukową, lecz **powieścią**, główny nacisk położyłam w niej na motywy psychologiczne i choć bardzo pilnie studiowałam źródła, to ani nie poszukiwałam źródeł nieodkrytych, ani się nie siliłam na jakieś samodzielne odkrycia. Najważniejszym zaś źródłem, w które się wgłębiałam przede wszystkim i które służyło mi za wytyczną, była twórczość samego poety. Na tej właśnie zasadzie chcę sprostować niektóre, wedle mego zdania mylne, twierdzenia autora artykułu.

Jeżeli idzie o samą osobę Karoliny Sobańskiej, to zbytnich różnic między naszymi zapatrywaniem i ma. Próżna i wyrachowana kokietka, bardzo zepsuta, należała ponadto do tego środowiska bogatych obszarników na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej, którzy mieli nastawienie wyraźnie kosmopolityczne, uczucia narodowe słabo rozwinięte i tylko w kierunku tradycji rodowych, tak iż Rosjanie pochodzący z takiej samej, jak ich własna, sfery towarzyskiej, byli im znacznie bliżsi od własnych rodaków. Nawiasem mówiąc, ten poziom tamtejszego społeczeństwa zmienił się dopiero w ostatniej ćwierci XIX wieku pod wpływem założycielki zakonu Niepokalanek, Marceliny Darowskiej, która wychowała parę pokoleń dziewcząt w duchu rozumnie pojętej, ale gorącej miłości ojczyzny.

Na takim tle stosunki towarzyskie z generałem Wittem, gubernatorową Gurlew itp. osobistościami były rzeczą całkiem naturalną, a romans z tymże generałem ze strony pięknej Karoliny, u której „co na placu, to nieprzejaciel“, również nie budzi zdziwienia. Czy posunęła się ona aż do działalności szpiegowskiej? Niewątpliwie tak, ale moim zdaniem jeszcze nie w tym okresie. Uprawiała ją ona bez wątpienia w Warszawie, w roku 1831 (artykuł M. Czapskiej w „Wiadomościach

Baba widać podsłuchiwała, bo wyleciała z drugiej izby i do Sobka z pyskiem:

— Mnieś doł?! Mnie — — ?

— Wom, dyc ludzie — ułapił się za głowę, klenknął przed nimi, — Wom przecie dołek! Nie nosilek go bez całej lato. Po matusi mi ostoł. Oddejcie mi mój kozuch!

Babie się ślepia zapaliły i dalejże do Sobka:

— To ty bęsiu jeden zatracony myślis, zek wżina twój kozuch?!

— Ino nie bęsiu!

— Ty bęsiu zatracony!

Poczerwieniał Sobuś. Wściekłość go objena i mglica na oczy spadła. Sam już nie wiedząc co robi, poderwał się i zamierzył na babę. A baba za chłopą wskoczyła i wrzeszczy:

— Nie bęsiu!... A cożeś jest siuro pierońska?! Ty najduchu! Bić mie fciol ten smarkaty pies! Wicie!...

— Pysk se zawrzyjcie!

— Kuba!

— Morde stul!!

— Już cie tu nima!

— Kozuch mi oddejcie!

— Całuj psa w rzyć!

— Kozuch mi oddejcie, złodzieje!

Cofał się ku drzewom.

— Ty siury wilku! Ty kundelu zatracony!

— Ty flaku mamusin!

— Ee, bo porwe co...

— Jesce cholero ciużys? Jesce... Tako toto niedujda, a do bitki się biere, krowisyn! — plunęła.

Wściekłość chyciła Sobusia obcęgami za serce. Nie móg się już strzymać. Porwoł za stołek i do nich. Zrobiła się bitka. Sobuś jednemu garzciom stołek trzymał, drugom babę ułapi i miał już prasać, doznaku wścieknięty, ale go Kuba za rękę uzbrojoną chwycił na czas i klinąc na czym świat stoi, porwał w żelazne łapy. Uniósł Sobka i grzmotnął nim o drzwi z taką siłą, że razem z Sobkiem wyleciały do sieni. Mraka Sobusiowi na oczy spadła. Krew mu się nosem i gębą rzuciła, ale strzymał... Począł bulgotać jakieś słowa ku stojącemu na progu i kapke wystrachany

gospodarzom, młyńce dziwne wyczyniając jak praśnety kamieniem wróbel.

Leżał w sieni na ziemi kawał cegły, co go widać dzieci z pola do zabawy przyniosły. Zebrał się Sobuś. Poderwał. Chycił cegłę i buch! Mraka mu zaś na oczy spadła. Zatoczył się. Dosłyszał jęki i przekleństwa. Na kolana opadł. Uniósł się znów i znów zatoczył. Ale strach Sobusiowi nogi wsparł: przeskoczył próg. Coś go niesło samo: uciekł w pole.

Las. Haw cichutko wiatu szemrze. Niesie na powitanie pierze śniegowe, które ze smreków pazdurami wietrznymi poździerał.

Podniósł Sobuś oczy.

— Wiera, dyc haw już dworski las... Wielgi las. Późni polana, wyrębiska pewnikiem śniegiem doznaku zasute, a późni gościniec — —

Wszedł między pierwsze drzewa. Ciemność ku niemu zza nich wyrażała zimna i dziwnie zła. Obeżrał się trwożnie wokół. Ruda cetyna spodob ospyśka wyizera. Haw smukłe smreki, suche chabiny. Zielone i białe kłęby drzew niebo ponad Sobusiem zasłoniły. Ino haw i hań wyizera ku niemu ociupinka czerwonej łoktusy zachodu.

I nagle, gdy się tak bez ten las przedzierał, wspomnił se coś strasnego i aze się drzewa chycił z bolu. Pożrał za siebie: biejeje między drzewami pustka pół śnieżnych, droga, którą był przebył. Zakradł się na skraj lasu i patrzy... Hań w dali coś sinieje: kępa drzew na uboczu. Hań zaś na prawo wiejski las. I poczęło w nim coś wyć. Okropesna objena go męka. Poczęły mu się suć z oczu jasne łzy, jedna za drugą, w zgodnej po sobie kolei, Suły się coraz prędzej...

Stał długo. Gdy zamigotały pierwsze gwiazdy, mróz go tak zdusił, że palcami nie mógł poruszyć. Zagnął się zebrał. Ręce przed siebie wyciągnął i ruszył z powrotem, jęcząc.

Wydostał się znów na szeroką, daleką gładzinę pól pustych i znów począł nad nim wiatr huczeć. Brnął w kierunku kępy drzew, która była w pamięci, a znikła w gwiezdach.

Już brzyzek. Gołe szeleszczą chabiny wklilin. Już miedza znajoma jedna się przez drugą, ku niemu, z białości zbocza wychyla. Już mur... Jakoś się przezeń prześlizgnął, przełaził, przewalił na drugą stronę. Dojrzał go też zaraz. Mizerny był zwyczajnie, łoktusą śniega pokryty, z tym smereckiem co zawždy i z tym krzyżyczkiem niziusim, matusin grobek. I haw se Sobuś, na tym grobusiu, przyśiad. Na filecke...

Zdzisław Olszewski

doszukiwali przede wszystkim anegdoty erotycznej — tak umiejętnie pozacierał wszelkie ślady, że istotnie na drodze badania ściśle naukowego doszukać się ich niesposób. Pomocą może tu być jedynie wnikięcie w psychikę poety.

Najpierw należy stwierdzić jedno. Przygotowując do druku i opracowując wydanie swoich poezyj, zamieszczał je w tym porządku, w jakim powstawały. Gdy się więc zna jego życie i jego „klimat“ duchowy w rozmaitych okresach życia, można bez trudności nakreślić linię demarkacyjną pomiędzy jednym a drugim przeżyciem miłosnym uwiecznionym w poezji. Otóż przytaczane na końcu przez L. Podhorskiego sonety erotyczne odnoszą się niewątpliwie do uprzednich miłości, tj. do Maryli i Karoliny Kowalskiej. Zarówno gatunek wyrażonych tam uczuć jak i rysująca się w nich fizjonomia kobiety, do której każdy był skierowany, wskazuje na to wyraźnie. Natomiast sonety „Do D. D. (wizyta)“, „Do wizytujących“ i „Pożegnanie (do D. D.)“ dotyczą najwidoczniej jednej i tej samej osoby, z którą łączył poetę stosunek zmysłowy, powstały na tle życia salonowego, i z którą zerwanie następuje po przekonaniu się, iż kierowała nią tylko próżność i to, co byśmy dzisiaj nazwali snobizmem. Tą zaś osobą nie mógł być nikt inny, tylko Sobańska.

Ten sam charakter wybitnie zmysłowy noszą przepyszne utwory „Do D. D.“ (zaczynając się od słów: „Moja pieszczotka...“), „Sen“, „Rozmowa“, „Godzina“ i najwspanialszy ze wszystkich, „Do D. D. (elegia)“.

L. Podhorski wypowiada trochę zabawną uwagę, że wyrażenie iż „pieszczotka szczebiocze i grucha i kwil!“ i takie określenie jak „oczęta“, „ustka“ itp. nie mogą się dotyczyć kobiety trzydziestoletniej. Dotychczas jeszcze tego nikt nie kwestionował... rozstrzygnięcie pozostawiam tutaj kompetentnym...

L. Podhorski dwukrotnie zaznacza w swoim artykule, że taki typ kobiety jak Karolina Sobańska nie może wydobyć z lutni poety tak subtelnych i głębokich tonów, natchnąć takich słów pulsujących krwią serdeczną i tak wysokich pod względem potencjału emocjonalnego. Mnie się jednak zdaje, że te rzeczy nie zależą od przedmiotu, ale od podmiotu, a sądzę, że kobieta piękna i umiejąca doskonale wyzyskać wszystkie swoje walory w postępowaniu z mężczyznami może dać natchnienie do takich właśnie utworów, jak wymienione powyżej.

W zupełnie inny klimat wprowadzają nas

wiersze „Dwa słowa“, prześliczna, niezrównana w swej prostocie „Niepewność“, oraz dwa sonety: „Jastrząb“ i „Rozeszliśmy się wczoraj“. Jest tam obraz kobiety czystej, bezwiednie wyzywającej pod wpływem miłości, jaka się w niej zbudziła, pełnej skrupułów, które jednak pierzchają w tchnieniu obudzonej po raz pierwszy namiętności — a pociągającej właśnie owym nieświadomym uczuciem. Dla każdego, kto umie czytać i wgłębić się w przeżycia skreślone z takim mistrzostwem poetyckim, musi się stać jasne, że chodzi tu o osobę inną, a wymienione w sonecie „Jastrząb“ imię „Giovanna“ wskazuje, iż była nią Joanna Zaleska.

Pozostaje jeszcze postać hrabiny w „Konfederatach barskich“. Tutaj już i L. Podhorski nie przeczy, że poeta miał na myśli panią Sobańską. Dziwi mnie tylko, że autor artykułu, który sam przecież jest poetą, więc powinien mu być znane drogi twórczości, popełnia ten sam błąd, co pierwszy lepszy, przeciętny czytelnik, doszukując się koniecznie fotograficznej wierności szczegółów. To, że pisarz zaczerpnął główne rysy jakiejś postaci ze znajomej osoby, nie znaczy jeszcze, aby miał ją portretować wiernie od stóp do głów, a już najdziwniejsze jest dopatrywanie się w postaci młodziutkiego Adolfa, wyrostka pełnego entuzjazmu i gorących uczuć patriotycznych — podobieństwa do Henryka Rzewuskiego, dojrzałego mężczyzny, „viveura“ i cynika, jedynie na tej podstawie, że jest on bratem hrabiny.

Wreszcie jedna uwaga. Wyznaję otwarcie, że zupełnie mię oburzyło to, co mówi L. Podhorski, że Mickiewicz nieogłędnie dobierał sobie przyjaciół, a bardziej jeszcze to, że posługiwał się przyjaciółnią z Sobańską i Wittem jako osłoną i jako niezmiernie wygodną pozycją dla działalności konspiracyjnej.

Przed wszystkim — za to mogę ręczyć — Mickiewicz żadnej działalności konspiracyjnej w Odessie nie prowadził. Był w przyjaźni z rewolucjonistami rosyjskimi w Petersburgu i dlatego chętnie zawiązał od nich list do Pestla, z którym, zarówno jak i z Murawiewem-Apostolem, poznał się w czasie przelotnego pobytu w Kijowie, ale w Odessie tak dalece był zajęty czym innym, że mu z pewnością konspiracje nie były w głowie. Nigdy zaś, pod żadnym pozorem, choćby dla celów szlacheckich, nie popełniłby takiej nieczemności, żeby udawać przyjaźń dla ludzi podłych jako „osłone“ i „wygodną pozycję“. Niezmiernie zawiła sytuacja psychiczna jego w tym okresie zajęłam się obszernie w II, III i IV rozdziale drugiej części mojej powieści o nim.

Co się zaś tyczy „nieogłędnego doboru przyjaciół“, to dość chyba spojrzeć bodaj powierzchownie na całe życie poety, na dzieje Filaretów i Filomatów, na jego przyjaźń z Garczyńskim, z Kajsiewiczem itd. To, że do Bułharyna pisał: „Kochany Tadeuszu“, niczego nie dowodzi. Jest to zwrot równie banalny, jak kreślenie się czyimś „sługą“ na końcu listu.

Wszyscy Polacy w Petersburgu znali się ze sobą, a tym bardziej literaci; jednak o przyjaźni między Mickiewiczem a Bułharynem mowy nie było.

Tyle o pierwszym z artykułów L. Podhorskiego poświęconych odeskim miłościom Mickiewicza. Mówię wyraźnie w liczbie mnogiej, ponieważ uporczywe odnoszenie nie tylko poezji z tego okresu, ale i dawniejszych do jednej i tej samej osoby wydaje mi się mocno naciągane. Jak już powiedziałam wyżej, miłości tych, czyli — nazwijmy rzecz po prostu — romansów było w Odessie (nie licząc ubocznych flirtów) dwa: z Karoliną Sobańską i z Joanną Zaleską.

W nr 71 „Odrodzenia“ w artykule „Trzy Joanny“ znajdujemy szereg śmiałych hipotez, które — niech mi to autor artykułu daruje — zdają mi się wyssane z palca.

Co do pierwszej z owych „trzech“, Bonawenturowej Zaleskiej, to, jak mówiłam uprzednio, nie ma żadnych wątpliwości. W Pustowarni (nie Pustowarówce) bawił Mickiewicz w drodze z Kijowa do Odessy nie „podobno“, jak pisze L. Podhorski, ale na pewno. Aż do ostatka — to jest do wysiedlenia właścicieli na końcu pierwszej wojny światowej — przechowywano tam tradycję owych odwiedzin i opowiadano dotyczące ich szczegóły, odrzucając tylko z oburzeniem wszelkie insynuacje co do stosunku, jaki mógł łączyć ówczesną panią tego dworu ze znakomitym gościem. Zrobię tutaj uwagę, że stanowisko rodzin wstawionych w ten sposób w literaturze, jak np., jeśli idzie o Mickiewicza, spadkobierców czy to Joanny Zaleskiej, czy Konstancji Łubińskiej, wydaje mi się trochę... zaściankowe. Jeżeli w dawniejszych wiekach miłośnicy królów chlubiły się tym zaszczytem dlatego tylko, że spotkał je od ukoronowanego władcy, pomazańca bożego (jak wierzone podówczas) — to czyż nie należałoby chlubić się tym bardziej zaszczytem płynącym od ukoronowanego władcy serc ludzkich, pomazańca geniuszu?... Ale to nie należy do rzeczy. W każdym razie, opierając się na lirykach poświęconych Joannie Zaleskiej, można twierdzić na pewno, że przełom w jej stosunkach z Adamem nastąpił dopiero w Odessie (rozdział mojej powieści noszący tytuł: „Goryczyce... i osłoda“).

Drugą „Joanną“ miała być według autora artykułu pani Bobrowa. Sam L. Podhorski przyznaje jednak, że nigdzie nie znalazł żad-

nej wzmianki o jakiegokolwiek, bodaj powierzchownej znajomości jej z Mickiewiczem. To, że zakonnicą w Neapolu, mówiąc o niej do Krasieńskiego, nazwała ją po włosku „donna Giovannina“, wydaje mi się zbyt wątpliwym argumentem dla identyfikowania jej z mickiewiczowską „donną Giovanną“. Ponieważ zaś opowiadania pani Lacroix powtórzone wobec Aëra uważam za fikcję, więc i twierdzenie jej, że tajemnicza „D. D.“ przed powrotem Mickiewicza z krymskiej wycieczki wyjechała z mężem do Petersburga, można bezwarunkowo przyjąć jako wygodne zakończenie zmyślonej całkowicie sytuacji. Pozwól sobie natomiast zaznaczyć, że po pierwsze, Joanna Bobrowa wówczas kiedy Mickiewicz bawił w Odessie, była młodziutką, „świeżo upieczoną“, 17-letnią mężatczką i to prawdopodobnie już przy nadziei, że więc nie podobna przypuścić, żeby od razu tak na wstępie pożyłcia małżeńskiego i to z mężem urodziwym i bardzo w niej zakochanym, rozpocząła od zdrady.

Po wtóre, wiadomo, że państwo Bobrowie pierwszy rok po ślubie spędzili w Petersburgu, nigdzie zaś nie ma najmniejszej wskazówki, żeby mieli w tym czasie być w Odessie.

Wreszcie, **last not least**, jest to przypuszczenie niezgodne z charakterem danej osoby, a nawet ubliżające jej pamięci. Joanna Bobrowa nie była kobietą lekkich obyczajów. Romans jej z Krasieńskim stał się dramatem w jej życiu, powodując rozstanie z mężem, a nigdy ani przedtem, ani potem nie miała innego kochanka. Vox populi, tak zawsze skwapliwa w podchwytywaniu i rozgłaszaniu wszelkich skandali, nie przekazuje absolutnie żadnej plotki na ten temat, a miłość Słowackiego do niej była, jak wiadomo, czysto platoniczna.

Co się tyczy trzeciej „Joanny“, to jest Piotrowej Moszyńskiej, domysły autora opierają się już zgola na fantazji. Jako jedyny dowód podaje on istnienie owego, znanego dobrze mickiewiczologom „albumu Moszyńskiego“, który nota bene przeszedł w jego posiadanie później, znacznie później, w wiele lat po rozstaniu z żoną. Ow album zawiera liczne autografy wierszy Mickiewicza, między innymi także i „Do D. D.“, a dostał je Moszyński nie z pierwszej ręki, lecz od kogoś trzeciego.

Pomiędzy jednym a drugim z omawianych powyżej artykułów pomieścił L. Podhorski w nr 69 „Odrodzenia“ jeszcze trzeci, w którym poddaje drobiazgowej analizie wiersze erotyczne Mickiewicza pochodzące z innych okresów i jak zwykle, gdy przystępuje się do czegoś z powziętym z góry uprzedzeniem, wszystko służy mu do potwierdzenia jego tezy. Posuwa się w tym tak daleko, że gotów jest położyć na karb pani „D. D.“ nawet „Zaloty“, gdzie od razu pierwsze słowa: „Półki córeczki opiewałem wdzięki, mamunia słucha, stryj czyta“, wskazują tak wyraźnie na Marylę i jej otoczenie, że brak tylko nazwisk; jest to jeden z tych nielicznych utworów, w których poeta nie silił się bynajmniej na zamaskowanie osób.

Powtarzam jeszcze raz z naciskiem, że porządek, w jakim Mickiewicz pomieszczał swoje liryki w wydaniu książkowym, odpowiadał dacie ich powstawania. Wiersze zatem, które L. Podhorski odnosi do pani „D. D.“, pisane były na wiele lat przed jej poznaniem, zmiany zaś, jakie poeta czynił przed oddaniem ich do druku, mogły dotyczyć formy, ale nigdy treści.

Imię Laura, co do którego autor artykułu robi różne domysły, jest najwyraźniej konwenansem literackim pod wpływem sonetów Petrarki, i wskazuje właśnie na wcześniejszą epokę twórczości, kiedy Mickiewicz jeszcze sobie stylu właściwego nie wyrobił i był silnie pod działaniem szablonów poetyckich. Takim, na wskroś jeszcze konwencjonalnym utworem jest pierwszy z sonetów, „Do Laury“, gdzie zakończenie pełne — nieszczerzej zresztą — rezygnacji wskazuje najdobitniej na czas, kiedy ubogiemu studentowi wolno było... przynajmniej oficjalnie... tylko wzdychać jak trubadur do pani zamku. To samo dotyczy jeszcze bardziej sonetu „Ranek i wieczór“. Są to pierwsze czasy tuhanowickie.

Wiersz „Zaloty“ natomiast, mimo że odnosi się również do tych samych czasów, pochodzi jednak dopiero z epoki odeskiej i jest bardzo ciekawym przykładem do psychiki poety. Jak głęboko tkwiła mu Maryla w sercu i pamięci, tego dowodem nie tylko sonet „Stepy Akemańskie“, ale opowiadania Karoliny Sobańskiej, która z pewną urazą wspominała, że Mickiewicz nigdy nie pozwalał w rozmowie na najlżejszą nawet aluzję do pani Puttkamerowej. Ale ton cyniczny, jakim odznacza się ten wiersz, jest wyraźnym odbiciem atmosfery, w jakiej podówczas przebywał poeta. Tym tonem nie odzywał się o swej miłości do Marii ani przedtem ani potem.

Sonet przełożony, a raczej parafrazowany „Z Petrarki“ (wszystkie przekłady mickiewiczowskie są zawsze do pewnego stopnia parafrazą oryginału) znajduje się na tym, a nie na innym miejscu prawdopodobnie tylko dlatego, że właśnie w tym czasie został napisany, a jak widać z treści, nie odnosi się do żadnej kobiety specjalnie, choć można bez naciągania przypuścić, że pobudką do przełożenia tego właśnie, a nie innego sonetu

były pewne analogie z miłością do Maryli. Tak samo i drugie tłumaczenie z Petrarki, „Błogosławieństwo“.

„Strzelec“ jest najwyraźniej natchniony uczuciem zazdrości względem męża Maryli, nieco tylko wzmocniony dla wyrazu poetyckiego. W każdym razie z myślą nie zamordowania wprawdzie skrytobójczo, ale zabicia Puttkamera w pojedynku, nosił się Adam przez czas jakiś, jak to wiadomo z relacji poufnej Łozińskiego. Zestawienie wyrażenia „nim kraj ten opuszczę na wieki“ ze słowami listu: „Chcę odetchnąć powietrzem Ukrainy nim ją na długie czasy opuszczę“ i wyciąganie stąd wniosków uważam za mocno naciągane; tego rodzaju podobieństwa znajdować można na każdym kroku.

Natomiast sonety „Dzień dobry“ i „Dobranoc“ odnoszą się niewątpliwie do Karoliny Kowalskiej (pierwszej z trzech Karolin — trzecią była jego narzeczona w Moskwie, Karolina Jaenisch — imię to bowiem zdawało się jakoś predestynowane dla Adama). Dowodzi tego nie tylko miejsce kolejne, na jakim zostały pomieszczone przez poetę, ale przede wszystkim korespondencja Filomatów, z której poznajemy dokładnie dzieje tego stosunku. Tutaj należy również sonet „Luba, ja wzdycham“ (przytoczenie zeń przez L. Podhorskiego słów: „Przewalczyliśmy wiele...“). Wmieszany zaś tutaj przez autora artykułu sonet „Rozeszliśmy się wczoraj“ dotyczy niewątpliwie, jak to już powiedziałam uprzednio, Joanny Zaleskiej, i pomieszczony jest też na odpowiednim miejscu.

Wreszcie sonet „Poezyjo, gdzie cudny pędzi twojej ręki?“ pochodzi z czasów późniejszych, moskiewskich i skierowany jest do księżny Zeneidy Wołkońskiej, która miała piękny głos, występowała nawet w operach urządzanych w teatrze amatorskim w jej własnym salonie, ale oczywiście po polsku śpiewać nie umiała.

Co do ballady „Czaty“, myli się L. Podhorski odnosząc ją do pobytu poety na po-

łudniu Rosji, i jest przy tym w sprzeczności sam z sobą, ponieważ podaje — słusznie! — datę 1827/28, a więc o parę lat późniejszą. Rzeczywiście, powstała ona w Petersburgu pod wpływem opowiadania spotkanego tam znajomego z Odessy, Henryka Rzewuskiego. I znowu doszukiwanie się podobieństwa z napisanym o wiele lat wcześniej, jeszcze w Wilnie „Widzeniem się w gaju“, dlatego tylko, że i tu i tam jest mowa o jeździe na „koniku“, wydaje mi się wielce naciągane.

Najbardziej jednak zdumiewa mię przypisywanie również pani „D. D.“ wiersza „Na Alpach w Splügen“.

Jak to? Więć ten wybuch tęsknoty jednocześnie tkliwej i namiętnej, chwilami wręcz niesamowitej, aż dreszcz przechodzi, ten jeden z najwspanialszych liryków świata miałyby być natchniony owym, dawno już wygasłym uczuciem, które, jak wszystkie miłości oparte wyłącznie na zmysłach, pozostało tylko przeżytkiem, a w tym wypadku także i niechęć połączoną ze wzgardą?... I to mówi poeta o poecie?... Cytując urywki z tych przepysznych wierszy wydartych z samego dna duszy, bada drobiazgowo, słowo po słowie, czy „pasują“ do ówczesnej pani Puttkamerowej!... Zaiste, powtarza się historia ze „szkiełkiem i okiem“... Mimochodem tylko zaznaczę, że „białe małżeństwo“ dawnej Maryli skończyło się jeszcze za pobytu Adama w Wilnie i że on o tym wiedział, że w tym czasie, gdy powstał wiersz, była już szczęśliwą matką dwojga dzieci, i że słowo „miłostki“ użyte jest tutaj z wyraźną ironią.

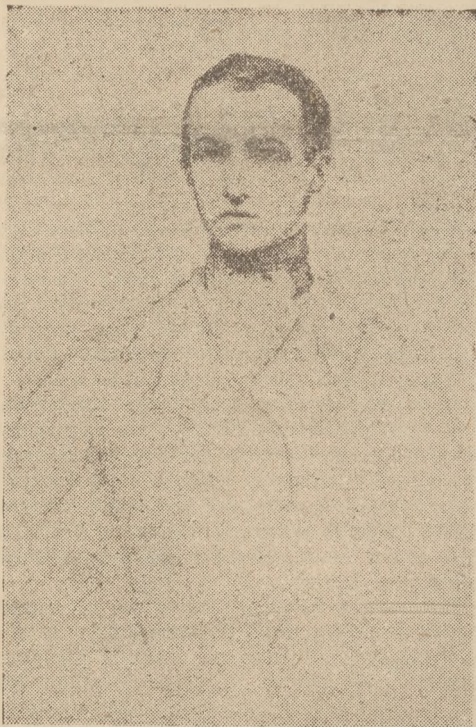
Można by jeszcze przytaczać dużo argumentów, aby zbijać twierdzenia L. Podhorskiego, ale na tym kończę tę i tak już przydługą polemikę.

Przykro mi, że starałam się obalić dowodzenia mego kolegi po piórze, który w tak miły i zaszczytny dla mnie sposób przytoczył mój list prywatny — lecz trudno! Amicus Plato, sed magis amica veritas.

Alina Swiderska

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

Plotka na marginesie portretu



Edward Dembowski

Trzymam w ręce reprodukcję tego portretu Edwarda Dembowskiego i staram się przypomnieć sobie najdokładniej, jak wyglądał on w oryginale, który tylokrotnie oglądałam. Na kredowym, trochę pozółkłym papierze miękki, czujny, bardzo subtelny ołówek Rodakowskiego wydobywał wizyjną poprzez swą szkicowość postać młodego myśliciela i rewolucjonisty. W tej twarzy bardzo młodej, poważnej i twardej w wyrazie, mimo ujmującej urody, jest coś bezpośredniego, coś żywego, co przybliżyło do nas i tłumaczy nam legendę Dembowskiego.

Raz tylko talent jednego z najwybitniejszych malarzy polskich potrafił utrwalić prawdziwą twarz człowieka, którego kameleonowa natura kazała mu się dwoić i troić w pracy, twórczości naukowej i politycznej, tak samo jak działalność rewolucyjna i spiszkowa mnożyła go, odmięniała, przewiewała nim, jak różnobarwnym płomieniem buntu, po całym kraju. Dzięki temu portrecikowi zachowanemu w papierach żony Anieli z Chłędowskich i przekazanemu potem jej krewniej, Stefanii Sempolowskiej, widzimy naprawdę, jak wyglądał młody uczony i emisariusz. A podobnie jak Henryk Rodakowski rysunkiem, tak samo talent i uczucie Żmichowskiej słowem — potrafiły nam przekazać obraz duchowy Dembowskiego w prześlicznych słowach wstępu do „Pogadanki“.

Na marginesie tego odnalezionego, niestety tylko w reprodukcji, portreciku Edwarda Dembowskiego ulegam pokusie powtórzenia

i słów Gabryelli, słów, które są jego literackim odpowiednikiem. I jednocześnie wkraczam w dziedzinę spraw osobistych, zawiklań i uczuć intymnych, którymi do dziś dnia pulsują drukowane słowa i przekazane wspomnienia:

„Henryk „zapaleniec“, stąd otrzymał swoje przezwisko, że tak żył prędko, chciwie i gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z nas wszystkich, najwcześniej miała wybić ostatnia godzina. Alchemik, co by wziął trzech ludzi z burzliwymi i sprzecznymi skłonnościami, czterech innych z cnotą najwzniolejszą, pomieszał razem, utłukł w moździerzu, nalał wodę wiślaną, zagotował przy wulkanie, odcodził przy księżycu, trochę podsycał slarką i saletrą, miałby dopiero dla osobliwości lub dla przestraszenia spokojnych amatorów wista i ojców rodziny esencją podobnoluteńską do takiego jak Henryk człowieka. Ile ten chłopiec przed dniem pełnoletniości swojej nauk, uczuć i zdarzeń spożył, to by jakiemu staremu Francuzowi na dwunastotomowe pamiętniki wystarczyło, każdy tom in 8-wo i bez interlinii drukowany. Przy nadzwyczaj wątpliwej postaci, przy dość miękkim wychowaniu, żelazna jego organizacja nie upadała przed żadnym nadużyciem zbytków i trudu, egoizmu i poświęcenia. Ach, żal mi teraz, że napisałam to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak szafował zdrowiem, majątkiem, szczęściem, co dla przyjaźni lub szlachetnego celu byłby swe dobre imię oddał bez wahania, i nazwać go egoistą? Henryk nie był egoistą. Henryka osobliwość była tylko tak wydatną w tym co czynił, tak zainteresowaną w tym, czego pragnął, tak połączoną z tym, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludziom, a i mnie samej zdawać się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło. Inne jego z egoistami podobieństwo leżało w upornej zacietości, z którą wszystkie swoje przeprowadzał zamiary. Skoro sobie powiedział, że to będzie dobrym i pożytecznym, zaraz brał się do uskutecznienia projektu i wtedy nic go już nie obchodziły postronne przedmioty, z najobojętniejszym okrucieństwem stapał po spotykanych na drodze zawadach, z najdoskonalszą pogodą umysłu i twarzy wesołością zbliżał się ku zamierzonej mecie: choćby tam kogo w drodze potrafił i zdusił. Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczyma, z ślepym niedoświadczeniem a żądzą płomienną. Przeczuwało się, że dusza jego silnym pchnięciem Bożym w świat przestrzni rzucona, musi bez spoczynku i zmęczenia jakieś planetarne zakreślić koło. Nigdy się Henryk nie cofnął przed żadnym środkiem, który mu osiągnięcie celu ułatwiał.

Henryk był odważnym jak lew, był w gruncie rzeczy szlachetnym jak epopeja, jeśli kłamał, to ze zbytku gorączkowych myśli, z maligny lub z fantazji tylko, a przy tym w życiu swoim miał tylko jedno uczucie, które mogło i stokroć cięższe winy łaską sakramentalną w oczach bardzo surowych sędziów okupić, za

głos kobiet ręce przynajmniej — Henryk kochał swoją matkę. — Miłość synowska jak polarna gwiazda zbawienia przyswiecała nad burzliwością jego szaleństw, namiętności i błędów, strzegła go od zraty, ku enocie natchnieniem wiodła...“

Nie chcę powtarzać tu w całości tych słów znanych zresztą powszechnie, będących kluczem do charakterystyki całej grupy Entuzjastów i Entuzjastek. Na jej tle najciekawszej chyba postaci Dembowskiego. Łatwo czytelne przenośnię — matka zamiast Polska (Dembowski stracił rodzoną matkę jako małe dziecko) są aluzją do niecenzuralnej i konspiracyjnej w owych czasach działalności Dembowskiego. Egzaltowany i żarliwy ton, a głównie końcowa apostrofa pożegnalna, są kluczem do anegdoty miłosnej ukrytej za życia jej bohaterów, oczywiście i łatwej do odgadnięcia w perspektywie historii:

„Och, jak to dobrze, że my się już nie spotkamy z sobą!“

Zostałeś w mej myśli tak pięknym, tak okupionym ze wszystkich grzechów i niedokładności twoich. Och, jak to dobrze Henryku! Może później byłbyś się zmienił, może trochę więcej siebie, lub inną ukochał kobietę, może byś stracił to młode zuchwalstwo swoje, może zwątpił o ludziach, może własnej siły zaczął już nie ufać, a może byś z uporu szedł tą drogą, którą siedleś z przekonania, może przez próżność czynił, co przez zapał czynić nawykłeś. Może byś mi się zepsuł pierwszą

pomyślnością, załutł pierwszą goryczą, nie zwracając się do pierwszych chłap poprawiać pomyłek — a ja cię tak lubiłam w prostocie twojej dobiej i zlej natury, w bogactwie twojego światła i w czarności twoich cieniów. Och, jak to dobrze Henryku, że my się już nie spotkamy z sobą. Niech będzie znak krzyża Chrystusowego, pieśń i blask słońca nad wspomnieniem twoim...“

Poza tą krótką, gorącą próbą charakterystyki — wzajemny stosunek Dembowskiego i Żmichowskiej zadokumentował ogromny zbiór listów, datujących się z okresu ich przyjaźni.

Listy te długie lata po mecznijskiej i przedwczesnej śmierci Dembowskiego, a potem i po o wiele późniejszej śmierci Gabryelli, znajdowały się wraz z dwoma portretami Rodakowskiego i wielu innymi pamiątkami, w posiadaniu wdowy po Dembowskim, pani Anieli z Chłędowskich.

Z opowiadań młodej podówczas krewnej Anieli, Stefani Sempołowskiej, wiem, że zbiór ten staruszką pani Dembowska wielokrotnie obiecywała jej zostawić w puściźnie, jako spadkobierczyni ideałów Entuzjastów i biografce Żmichowskiej. Nie dotrzymała jednak obietnicy. Na kilka dni przed śmiercią, już obłożnie chora, zwickła się nocą z łóżka i wszystkie listy cichaczem spaliła. Po tylu latach wdowieństwa przetrwała w niej, mimo wszystko, zazdrość o tamtą dawną przyjaźń uwielbianego męża.

Krótki okres pożycia z nim, intensywny i płomienny, tak samo jak krótkotrwałe intensywne i płomienne było wszystko, co Dembowski w swym życiu zrobił (do bohaterskiej i mecznijskiej śmierci w 24 roku życia: szereg dzieł naukowych, poezja, działalność filozoficzna, polityczna, społeczna...) położył swe piętno na wszystkich późniejszych latach wdowy, nawet w głębokiej starości nie pozwolił zamknąć nurtującym ją niegdyś namiętnościom. Przez tę spóźnioną zazdrość utracili, śmy wgląd w istotę wiążącego Dembowskiego i Żmichowską stosunku, w treść prywatnej i osobistej wymiany myśli i sentymentów.

Listy zostały spalone. Ale zostały jeszcze po pani Dembowskiej, obok innych pamiątek, dwa portrety rysowane przez Rodakowskiego, przedstawiające Edwarda i ją samą, jego młodszą i śliczną podówczas żonę, wierną i zapaloną towarzyszkę nie tylko życia lecz i idei.

Ten właśnie portret pani Anieli Dembowskiej, poznaczony kiedyś jednemu z literatów warszawskich, zaginął na przeciąg paru lat, ku wielkiemu żmierzieniu jego właścicielki, p. Sempołowskiej. Potem odnalazł się w dziwny sposób. Wyglądał mianowicie niespodzianie jako ilustracja jednej z powieści Żmichowskiej, wydanej przez Boya-Zelenkiego (zdaje się „Białe róże“). Wedle objaśnienia figurował on w tym wydaniu jako portret Narcyzy Żmichowskiej.

Panna Sempołowska — przerażona tym nie-

porozumieniem i wynikłym z niego fałszem historycznym — zawiadomiła natychmiast Boya, że padł ofiarą mylnej informacji i prosiła go o sprostowanie. Ale jak tu prostować i odwoływać podpis pod portretem, gdy książka była już wydrukowana, poszła między ludzi? Boy zafrasował się, a potem uśmiechnął się figlarnie i poprosił:

„Co pani te szkodzi. Nie wyprowadzajmy już ludzi z błędu. Niechże ta bidula Żmichowska, choć raz po śmierci — będzie ładna.“

I tak Narcyza Żmichowska zyskała dla ludzi śliczną twarz pani Dembowskiej, swej szczęśliwszej rywalki za życia. Może było to jakieś mistyczne zadośćuczynienie, odwet losu za zniszczoną korespondencję miłosną?

Od tej sprawy minęła już znowu cała epoka. Nie tylko uduchowiony romans „Henryka“ i Gabryelli odszedł w dziedzinie legendy. Niepowrotną przeszłością jest dziś także erudycja, wnikliwość i fantazja, z jaką Boy odczarowywał „Ludzi żywych“ z papierów i relacji, a także ogień, z jakim Stefania Sempołowska budowała przyszłość z okrucieństw dawnej kultury.

Spaliły się także oryginały obu portretów Rodakowskiego. Pozostały ich reprodukcje — (portret Dembowskiego na okładce pisma dla młodzieży „Z bliska i z daleka“, nr 21 z 23 maja 1914 roku). I pozostała plotka trochę romantyczna i rozczulająca, a miejscami zabawna, utrwalona przez zawodną pamięć na marginesie tych portretów.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH

Ankieta „Odrodzenia“

Bolesław Józef Gawecki: Mam gotowy rękopis — jedyny ocalony z Warszawy w połowie września 44 r. — obszernej pracy o filozofii polskiej. Nie jest to rozprawa historyczna, lecz próba wydobycia z zapomnianych dzieł myśli żywotnych i aktualnych oraz przedstawienia ich w sposób nowoczesny. Obecnie pochłonięty jestem wykładami uniwersyteckimi i chciałbym przede wszystkim wydać kilka skryptów, ponieważ studenci nie mają się z czego uczyć, a uczyć się pragną. W chwilach wolniejszych piszę zwięzły pamiętnik, który do pewnego stopnia ma zastąpić spalone notatki kronikarskie, prowadzone od dzieciństwa bez przerwy przez lat 41. Sądzę, że dobrze byłoby wznowić wyczerpaną „Propedeutykę filozofii“. Książka ta, wydana na rok przed wojną przez „Bibliotekę Polską“ jako podręcznik dla drugiej klasy licealnej, jest właściwie „wstępem do filozofii“; zawierając elementy psychologii, logiki, metodologii, teorii poznania i teorii nauk, wyjaśnia przystępnie podstawowe terminy naukowe z tego zakresu. Mam wrażenie, że podręcznik taki mógłby się przydać nie tylko młodzieży i w ogóle osobom interesującym się zagadnieniami filozoficznymi, ale także niektórym autorom artykułów w dziennikach i tygodnikach na tematy zahaczające o filozofię. Zajmuję się również „przekładem „Fizyki“ W. H. Westphala (1943); ma wyjść jesienią br.

Walery Goetel: Pracuję obecnie nad zagadnieniami węgłowymi. Nadto powróciłem do opracowania z mych podróży przedwojennych. Projektuję wydanie w roku bieżącym pierwszego po wojnie rocznika górskiego „Wierchy“, którego jestem naczelnym redaktorem.

Jadwiga Kozłowska: Moje plany wydawnicze? Niestety, żadne. (Jeśli nie liczyć tomu bajeczek dla dzieci, mającego ukazać się niebawem). Casy mój dotychczasowy dorobek: dwie powieści psychologiczne, z których pierwsza ukazała się miała w r. 1941 we Lwowie, czemu przeszkodził wybuch wojny, oraz druga, powstała w latach 1941—42, znajdują się — o ile się znajdują — poza granicami Polski i dzisiaj nie mam do nich dostępu.

Obecnie pracuję nad powieścią „Zmierzchn“, w której chciałabym zamknąć przeżycia i doświadczenia ostatnich lat. Powracam tu do tematu, poruszonego już w mojej pierwszej książce: do współżycia obok siebie dwóch narodów, warunkami zmuszonych do sąsiedztwa ze sobą. Slegam do żywego pól ortodoksyjnego i umiścającam je w środowisku polskim. Część pierwsza obejmuje dzieje rodziny żydowskiej, a potem żydowsko-polskiej, od początku bieżącego stulecia do wybuchu minionej wojny. Część druga — okupację, ghetto, erę zniszczenia itd. Praca nad tą powieścią zajmie mi jeszcze chyba z pół roku.

Julian Makowski: W tych dniach opuszcza prasę moja broszurka pt. „Organizacja Narodów Zjednoczonych“, a w najbliższym czasie rozpocznie druk płażego wydania mojego podręcznika „Prawo międzynarodowe“. Poza tym podjąłem wydawanie przeze mnie przed wojną „Zbiór dokumentów“. Jako nr 1 serii II wyszedł zeszyt zawierający przekład Karty Narodów Zjednoczonych.

Tadeusz Milewski: Drukuję obecnie w roczniku „Slavia Occidentalis“ wychodzący w Poznaniu artykuł o objętości około 50 stron druku pt. „Stosunki językowe polsko-pruskie“. Popularne ujęcie wyników tej pracy przedstawiłem w artykule pt. „Język i kultura polska w średniowiecznych Prusach“, który ukazał się w „Dzienniku Polskim“ z dnia 3. IV. 1946. Tom „Slavia Occidentalis“, zawierający moją pracę ukazuje się zapewne w jesieni br. Obecnie pracuję nad dużym, trzytomowym dziełem (łącznie około 30 arkuszy druku) pt. „Zarys językoznawstwa ogólnego“. Część pierwsza pt. „Teoria językoznawstwa“ jest już zupełnie wykończona i czeka na wydawcę. Przedstawiłem w niej zarówno historię doktryn lingwistycznych od czasów starożytnych po r. 1939, jak i problematykę poszczególnych działów naszej nauki. Część druga „Rozmieszczenie języków“ przedstawia dzieje rodzin językowych świata, ich ekspansję, podział i rolę w rozwoju kultury. Część trzecia „Typy języków“ omawia budowę systemów językowych, ich cechy wspólne i różnice. Mam nadzieję, że część druga uda mi się ukończyć do października br., a część trzecią do początku roku przyszłego. W przyszłości mam zamiar pracować nadal nad problemami z zakresu językoznawstwa ogólnego ze szczególnym uwzględnieniem teorii językoznawstwa i stylistyki. Tym też zagadnieniom poświęcone są moje wykłady i seminaria na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wojciech Mole: 1) Na ponowny druk czeka moja książka „Z życia sztuki“, która miała się ukazać w jesieni 1939 r. w Bibliotece Wiedzy (Trzaska) w Warszawie; gotowe były już kłose oraz zrobiona ostatnia korekta, przepała jednak skład. Tekst uzupełniłem kilkoma nowymi rozdziałami. W r. 1941 ukazało się jej wydanie w języku słoweńskim w Lublanie pt. „Sztuka — jej oblicze i wyraz“. Przed paru dniami skończyłem broszurę popularną o sztuce starożytności dla serii „Sztuka poprzez wieki“ („Czytelnik“).

2) Dla Zakładu Wydawniczego Im. Ossolińskich piszę obecnie obszernie dzieło pt. „Świat słowiański a Europa w świetle kultury artystycznej“. Na warsztacie mam równocześnie dwa tomiki o sztuce Słowian a jako rozszerzenie napisanej podczas wojny rozprawy przygrywającej „Narodzinie Zachodu w świetle dzieł sztuki“. „Parceluję“ książkę, napisaną w czasie wojny w języku słoweńskim pt. „Między Wschodem a Zachodem“, tj. wyjęty z niej esay „Czytając Homera“ wychodzi obecnie w „Mean-żrze“, gdzie ukaze się również „W pałacu Dio-

decjana“ a „Dialog w czasie wojny o sztuce“ znajduję się w innej redakcji.

3) Zamierzam rozszerzyć i rozbudować rozprawę pt. „Historia sztuki a problem osobowości artysty“, której pierwsze ujęcie opublikowałem w języku słoweńskim w „Rozprawach“ Słoweńskiej Akademii Nauk i Sztuki w Lublanie podczas wojny. Oprócz tego chciałbym móc nareszcie wrócić do swej dawnej miłości — do monografii o sztuce N. Poussina. Materiały do niej zbierałem już dawno, pracę przerwała mi jednak wojna. — Wszystko inne jest muzyką przyszłości.

Kazimierz Paszkowski: Obecnie ukazał się w druku mój reportaż pt. „Pruszków 1944“. Ostatnio oddałem do druku „100 najpiękniejszych bajek Jana de la Fontaine“ w najlepszych polskich przekładach: Kniżnina Krasickiego, Mickiewicza, Niemcewicza, Nowakowskiego, Trembeckiego i innych, w moim wyborze i opracowaniu. W przygotowaniu mam: tom poezji, cykl opowieści wojennych oraz powieść o tytule jeszcze nieustalonym.

Fryderyk Pautsch: Poza pracami ściśle fachowymi oddałem obecnie do druku „Reportaż biologiczny“. Książka ta odbiega do pewnego stopnia od spotykanego najczęściej typu popularnego piśmiennictwa naukowego, gdyż usiłuje w niej wyjść poza ramy opisu faktów ściśle ustalonych i zapoznać czytelnika także z zagadnieniami nie rozwiązanymi jeszcze bez reszty, tzn. zainteresować go wiedzą, która dopiero się tworzy. Nie unikam też sposobności podkreślenia, że wyjaśnienie istoty niektórych przejawów życia przekracza w tej chwili nasze możliwości, co jest w dużej mierze spowodowane niedostatecznym, jeszcze ciągle rozwojem techniki metod badawczych.

Pracuję w tej chwili nad przystępnym przedstawieniem najważniejszych faktów z embriologii człowieka łącznie z krótkim opisem zjawisk rozrodu i rozwoju innych istot żywych. Książka ta ma być pierwszą z cyklu, którego zadaniem byłoby zapoznanie jak najszerszej rzeszy czytelników z zasadniczymi właściwościami ustroju ludzkiego i jego życiem na tle przyrody ożywionej i martwej.

Stanisław Pazurkiewicz: W ostatnich latach przed wojną pracowałem nad rozprawą o poecie węgierskim z XIX wieku Gyuli (Juliuszu) Reviczky, z której ukazał się w połowie sierpnia 1939 r. w jednym z pism krakowskich ostatni, syntetyczny rozdział, oczywiście w dość dużym skrócie. Całe to studium, które wymagało jeszcze pewnych drobnych „oszlifowań“, uległo zniszczeniu podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. Tak sam los spotkał rozprawę o wybitnym prozaiku węgierskim G. Gárdonyim (zmarłym w r. 1922) oraz plęć czy sześć rozdziałów tłumaczonej przeze mnie jego wspaniałej powieści „Az isten rabja!“ („Niewolnica Boga“). Od drugiego, wielkiego pisarza węgierskiego Franciszka Herczego, którego powieść historyczna „Poganie“ ukazała się w moim tłumaczeniu w r. 1935, otrzymałem prawo przekładu „Bramy życia“ („Az élet kapuja“). Niestety, czasy okupacji nie sprzyjały zupełnie takiej pracy. Dopiero teraz myślę zabrać się do niej, o ile otrzymam węgierski egzemplarz powieści.

W kręgu moich zainteresowań znajduje się także literatura hiszpańska, a zwłaszcza hiszpańsko-amerkańska. Artykuły z tej dziedziny drukowałem w prasie meksykańskiej i południowo-amerkańskiej (oczywiście przed wojną) np. „Współczesna poezja boliwijska“, „José Santos Chocano, wielki poeta peruwiański“. Po polsku ogłosiłem tylko parę artykułów z tego zakresu np. w „Wiadomościach Literackich“ o przekładach utworów Tuwima przez kolumbijskiego poetę i dyplomata Arciniegasa. We wrześniu 1939 r. uległa również spaleniu całkowicie ukończona rozprawa o największym poecie hiszpańsko-amerkańskim Rubénem Dario oraz szkic, zawierający syntezę twórczości literackiej Gabrieli Mistral, poetki z Chile, która, jak wiadomo, otrzymała w ubiegłym roku nagrodę Nobla. Do tego skłiku dodałem kilka przełożonych przeze mnie wierszy z arcydziela poetki, którym jest bezsprzecznie tom poezji „Desolaciones“.

Wszystkie te prace, zniszczone przez burzę wojenną, zamierzam oczywiście zrekonstruować. Szczególnie zależy mi na studiach z literatury hiszpańsko-amerkańskiej, która jest u nas zupełnie nieznana. Mam zamiar napisać także całość dzieł literatury węgierskiej. W r. 1931 wydałem „Współczesna literatura węgierska“, której nowe, rozszerzone i uzupełnione opracowanie pt. „Literatura węgierska w XX stuleciu“ jest obecnie na ukończeniu.

Z zakresu literatury polskiej, od której właściwie powinienem rozpocząć odpowiedź na ankietę, planuję na dość bliską przyszłość rozprawę o Gustawie Danilowskim, teraz zaś pracuję nad powieściami Władysława Orkana. W sferze dalszych już zamierzeń znajduję się powieść osnuta na tle przeżytych przeze mnie z czasów okupacji.

Kazimierz Piwarski: W okresie konspiracji pracowałem wiele nad tymi zagadnieniami, które od dawna uważałem za najważniejsze w naszej nauce historycznej: mam na myśli oczywiście zagadnienia naszych Ziemi Zachodnich. Pracę tę wykuwałem w dalszym ciągu na plan pierwszy, co zarazem łączy się obecnie z zakresem nowoutworzonej katedry uniwersyteckiej, na którą zostałem powołany (katedra historii nowożytnej Słowiańszczyzny Zachodniej i Krajów Bałtyckich, na wydziale humanistycznym U. J.).

Owoce mej pracy naukowej w dobie konspiracji i w pierwszym roku niepodległości ujrzą niebawem światło dzienne. Tak więc Instytut Śląski w Katowicach drukuje moją ogólną „Historię Śląska“, książkę naukowo-popularną, a więc ujętą w sposób (mam nadzieję) dostępny dla szerszych sfer czytelników — zarazem zaś na tyle obszerną (około 400 stron druku), by mogła dać pełniejszy przegląd

wszystkich najważniejszych zagadnień, dotyczących tak związków dziejowych Śląska z Polską, jak też i dziejów polskości na ziemi śląskiej na przestrzeni wieków. Taki ogólny zarys historii Śląska uważano u nas już przed wojną za książkę potrzebną: napisanie jej na użytek chwili dzisiejszej uważałem za swój pierwszy obowiązek. Instytut Bałtycki w Bydgoszczy drukuje dwie moje książki: „Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych“, oraz „Dzieje Gdańska“. Wszystko to będą książki większe (każda o rozmiarach 20—25 arkuszy druku). Ukazał się w ciągu najbliższych kilku miesięcy (właśnie pracuję nad korektami).

Na ukończeniu mam dwutomowe „Dzieje Śląska w czasach nowożytnych“, opracowane z aparatem naukowym. Do pracy tej przywiązuje wagę szczególną, gdyż jest to pierwsze w naszej literaturze historycznej opracowanie tego zagadnienia (dotąd, jak wiadomo, szczegółowo przepracowane są dzieje Śląska do r. 1400). Pracę tę postanowiły wydać wspólnie dwa Instytuty: Zachodni i Śląski, w ramach 3-tomowych dzieł Śląska (tom pierwszy napisał Zdzisław Kaczmarek z Poznania).

Przygotowuję obecnie w ramach książki zbiorowej „Polska a Czechy w ciągu dziejów“ (wydawcą znowu Instytut Śląski, ewentualnie razem z Zachodnim) omówienie stosunków polsko-czeskich w XIX i XX wieku. Inne części tej książki opracowali już Zygmunt Wojciechowski i Tadeusz Lehr-Spławiński.

Najbliższe moje zamierzenia są następujące: 1. Wykończenie podręcznika uniwersyteckiego pt.: „Dzieje Europy w czasach nowożytnych (1492—1789)“, którego wydawnictwa podjęła się firma St. Kaminski. 2. Przygotowanie „Zarysu dziejów Czech“. Pragnę dodać, że brak takiej książki daje się u nas odczuwać od wielu lat; wydawać jeszcze nieustalony (prawdopodobnie Państwowy Instytut Wydawniczy).

Ograniczam się do podania tych prac, które są w druku, albo przynajmniej w danej chwili na warsztacie. Dalsze plany będą się krystalizowały w miarę wykazywania rzeczy wymienionych. Trzeba będzie jeszcze sięgnąć do teczki z okresu naukowych prac konspiracyjnych, gdzie znajduje się kilka prac naukowych lub naukowo-popularnych, które jednak wymagały jeszcze dodatkowych badań po bibliotecznych archiwach.

I jeszcze jedno. Mam prawie ukończony mój pamiętnik z pobytu w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie z grupy uniwersyteckiej byłem zatrzymany najdłużej. Ale kilka fragmentów losów naszej grupy uniwersyteckiej już wydano drukiem. Trudno mi samemu ocenić, czy wydanie moich wspomnień, jakkolwiek różni się znacznie sposobem ujęcia od dotychczas wydanych (nie mówię już o innym zakresie czasowym tematu), jest w obecnej sytuacji na rynku wydawniczym aktualne.

Józef W. Reiss: W najbliższym czasie ukaze się książka pod „niepoważnym“ tytułem: „Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska“. W rzeczywistości jest to syntetyczny szkic historycznego rozwoju naszej muzyki na tle przeobrażeń społecznych. Cel propagandowy: walka z przesadnym kultem obcej muzyki, zwłaszcza niemieckiej. Książka powstała z inicjatywy ruchliwego i pomysłowego nakładcy, prof. Tadeusza Zapłora, kierownika księgarń „T. Gieszczykiewicz“ w Krakowie. Jego inicjatywę zawiądzającą również powstanie wydany w czasie okupacji „Elementarz muzyczny“ pod pseud. Jana Dembiny i niedawno wydana „Mała historia muzyki“. W tym samym nakładzie ukaze się drukujący się obecnie „Encyklopedia muzyczna“ i „Słownik muzyki“. Nakładem firmy Gebethnera wyjdzie czwarte i znacznie rozszerzone wydanie dawno wyczerpanej „Ilustrowanej historii muzyki“.

Polskiej Akademii Umiejętności przedłożyłem dwie prace: „Antologia polskiej literatury muzycznej“ i „Dialog Plutarcha z Cheronem o muzyce“, przekład i komentarz. Ze względu na liczne związki między muzyką a literaturą polską byłoby pożądane wydanie „Antologii“; nie wiadomo, czy z powodu zbyt wielkich rozmiarów tej pracy Akademia podejmie się druku.

Największą wagę przykładam do pracy, której poświęciłem długie lata poszukiwań źródłowych i którą uważam za pożyteczny wkład do naszej kultury narodowej; jest to: „Źródłowy leksykon polskiej literatury muzycznej“, obejmujący w układzie alfabetycznym wszelkie zagadnienia naszej muzyki od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej. Rzec obieuję 4 duże tomy; kto wie, czy znajdzie się nakładca, który by się podjął wydania tak obszernej pracy. Cudem ocalony z pogromu hitlerowskiego chce złożyć tę pracę mego życia w hołdzie kulturze polskiej i choć nią spłacić dług, zaogniały wobec tej kultury.

Ludwik Świeżawski: Co wydaje? Na razie ma się ukazać drugie wydanie moich opowieści historycznych „Miało bez głęczy“, książki, która ukazała się przed wojną. Tylko że wydawca jakoś gudzire się z wydaniem.

Obecnie piszę powieść historyczną pt. „Grunwald“. Pierwsza część jest już gotowa i będę się starał przygotować ją do druku. Druga rzecz, którą opracowuję, to sztuka teatralna na wielką scenę. Ukończyłem właśnie pisanie sztuki teatralnej dla młodzieży. Ponadto napisałem baśń sceniczną dla dzieci, która ma być wystawiona w jednym z teatrów (Nawiasem muszę nadmienić, że sprawa teatrów dla dzieci, tak ważna dla rozwoju kulturalnego najmłodszego pokolenia, które dotychczas wylądowało się pod najbardziej żubnym wpływem wojny, jest jeszcze ciągle u nas po macoszemu traktowana). Z prac aktualnych: to praca dla radia (m. in. po nadanym niedawno skeczu satyrycznym „Okrętna droga“, nadane będą dwa słuchowiska, a obecnie piszę czwarte słuchowisko), poza tym: recenzje

teatralne, poezje, nowele, humoreski i artykuły drukowane w czasopiśmie.

Plany na przyszłość mam bardzo rożegle, ale brak czasu nie pozwala mi przepisać gotowych już utworów. Ponieważ niektóre zostały już zadatkowane przez wydawcę, jest nadzieja, że się do nich zabiorę. Jak na razie, najbardziej leży mi na sercu przygotowanie do druku pierwszej części „Grunwaldu“ i zbioru poezji.

Po postanowiłem pisać dla wydawnictwa straconych — nadrobić.

Stanisław Urbańczyk: 1. W ciągu maja ukaze się pamiętnik z obozów Sachsenhausen i Dachau pt. „Uniwersytet za kolczastym drutem“. Będzie to pierwszy opis całej akcji przeciw Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. W całości został napisany podczas okupacji i miał być wraz ze wspomnieniami prof. Skowrona częścią wielkiego tomu poświęconego najważniejszym obozom koncentracyjnym, plany jednak uległy zmianie, co też się przychyliło do wydania w wielkim opóźnieniu. Nie jest to rzecz dokumentarna, jak pamiętnik prof. Gładomorskiego, ale prosta opowieść, nawet bez starania się o elegancję stylu.

Równocześnie przeprowadzam korekty pracy naukowej dotyczącej dawniejszych stosunków językowych polsko-czeskich. Najważniejszą jej częścią jest próba oceny staropolskiego słownictwa, oddzielenia pierwiastków rodzimych od zamaskowanych zapożyczeń, przeprowadzona w oparciu o przekłady Pisma św.

2. Na wykończeniu mam kilka drobniejszych prac: informacyjną o stanie polskiej slawistyki i polonistyki dla czeskiego czasopisma „Slavia“, szkic religii pogańskich Słowian, próbę ustalenia etnicznej granicy polsko-czeskiej w średniowieczu przy pomocy nazw miejscowych. Wszystko to utyka jednak na wysiłkach, aby 300 zł, które mi państwo wypłaca na utrzymanie żony i dwojga dzieci, rozmożnić do wysokości, z której by się nie wysmiewała mleczarka i piekacz. Naturalnie poza pisaniem są jeszcze wykłady i ćwiczenia, prace związane z ustaleniem nazw miejscowych na ziemiach zachodnich i inne.

Franciszek Ksawery Walter: Zajęcia moje dydaktyczne i organizacyjne stoją mi na przeszkodzie w ukończeniu książki o śmierci, której pomysłu powstał w czasie mego pobytu w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu. Nosi ona tytuł: „Przyjaciel Thanatos. Legenda i prawda o śmierci“. Jest ona właściwie ukończona, brak tylko jeszcze ostatnich uzupełnień. Mimo że rozróżna ona zagadnienia filozoficzne, biologiczne i lekarskie dotyczące śmierci, przeznaczona jest dla szerszego ogółu czytelników.

Ogłosiłem drukiem kilka prac z zakresu dermatologii i zagadnień społecznego znaczenia chorób wenerycznych. Piszę również dla Lekarskiego Instytutu Naukowo-Wydawniczego pracę o charakterze socjologiczno-lekarskim, dotyczącą problemów polityki populacyjnej i chorób wenerycznych. Wspólnie z moim asystentem dr. Kazimierzem Leimanem opracowałem i przygotowałem do druku pracę naukową o nowej histopatologicznej metodzie, nad którą pracowaliśmy 10 lat.

Pragnieniem moim jest napisanie obszernej monografii popularnej, rodzaju biografii kłity, do której zbierałem materiały przeszło 20 lat. Biografie kłity mam zamiar opracować na szerszym tle dziejów świata, na zagadnieniach naukowych, lekarskich, kulturalnych i społecznych, z uwzględnieniem wpływu tej choroby na twórczość naukową, artystyczną i literacką. Uwzględnię również wyniki badań z zakresu nowej nauki „Patologii płazycznej“ i moich studiów „dermatologicznych“ nad reżymami z Orlara Mariackiego Wita Stwosza. Sądzę, że uda mi się rzucić nieco światła na problem tajemniczego a spornego dotychczas pochodzenia kłity.

Józef Widajewicz: Ukończyłem właśnie druk książki pt. „Studia nad relacją o Słowianach Ibrahim ibn Jakuba“.

Pracuję głównie nad rozjaśnieniem początków Polski.

Wiele jeszcze uwagi i pracy zamierzam poświęcić dziejom Słowian Zachodnich i najwcześniejszemu okresowi historii Polski.

Władysław Woitery: Wykazałem obecnie pierwszy tom „Systematycznego wykładu prawa karnego polskiego“. Pertraktuję obecnie o jego wydanie. Od załatwienia tej kwestii i ewentualnego porozumienia się z innymi polskimi naukowcami z tej dziedziny zależy będzie, czy przystąpię do pisania drugiego bądź też trzeciego tomu (drugi tom napisałby wtedy ktoś inny).

Juliusz Żulawski: Rok, który minął, był dla mnie — dla mojej pracy literackiej — trudny. Trudność polegała na zwykłej konieczności przerzucenia mostu pomiędzy okresem wojennym, kiedy to — w obozie jeńców — korzystając jedynie z materiału wspomnień pisałem celowo rzeczy odsuwające mnie psychicznie od meczącego środowiska, a obecnym okresem, w którym środowisko w sposób normalny stało się znowu aktualnym materiałem i źródłem inspiracji.

Toteż dopiero od niedawna mogę pracować z pewnym zadowoleniem z wyników i spokojnie porządkować dorobek nowy i dawny.

W rezultacie mam już prawie przygotowany tomik poezji i 3-aktową sztukę sceniczną, przerobioną z jednej ze sztuk, napisanych w czasie wojny. Co prawda dawno już zaczęta powieść leży i czeka chwili wolniejszej od doradnej pracy zarobkowej, ale za to pracuję tymczasem nad zborem prozy, który składać się będzie z kilku opowiadań.

STEFAN FLUKOWSKI

Dwa teatry jednej rzeczywistości



Jerzy Szaniawski

rozgrywania się rzeczy niewymiernych, nieuchwytnych i głęboko niepokojących. Przez pewien czas ulubionym tematem autora było włączanie w płaski byt jakiejś gromady ludzkiej elementu nieprzewidzianego i przez to dziwnego. Z konfrontacji tych dwóch czynników rodzi się konflikt pomiędzy światem uregulowanego i uświęconego długoletnim obyczajem środowiska ludzi realnych i przyziemnych a irracjonalnością, poezją i barwnością życia. „Murzyn“, „Lekkoduch“, „Ptak“ — to typowe przykłady ulubionego chwytu wprowadzania egzotyki w taki świat przyziemnych stworów. Autor „Papierowego kochanka“ natarczywie powtarza swój postulat poezji w życiu człowieka pocziwego, aby chociaż na chwilę ujrzał złocistego ptaka, czekoladowego murzyna, papierowego kochanka, aby ogarnęła go atmosfera lekkoduchostwa, pragnienie czegoś niewymiernego, jak te róże w trudnym, domowym świetle znakomitego adwokata. Ten postulat poezji jest oddany przez autora pastelową fakturą, bardzo eteryczną, zatuloną w półsłowa, sugestie nastrojów, niedomówienia, wielokropki, znaki zapytania.

Na przestrzeni niemal trzydziestoletniej pracy dramatopisarskiej Jerzego Szaniawskiego, każda jego nowa sztuka była wyrazem dojrzałej, przemyślanej koncepcji opatrzonej odpowiednim ładunkiem poezji mającej rozświetlić i przydać miękkości temu światu w istocie bardzo realnemu. Mamy tu bowiem pisarza realistę nie tylko z urodzenia, ale i ze świadomego wyboru tej właśnie drogi twórczej.

„Założenia moich sztuk — stwierdza Szaniawski — są w zasadzie realistyczne. Przed oczyma widzów wyprowadzam świat konkretny, ludzi przeciętnych, oddanych zwykłym sprawom dnia codziennego. Adwokat, przewoźnik, architekt, gajowy — nic tam nie ma poza konkretną rzeczywistością. Szczególnie ta moja tendencja do realizmu zarysowuje się w postaci ziemianina w „Dziewczynie z lasu“; nie jest to żaden hreczkosiej, pan, czy wyidealizowany przedstawiciel owej warstwy społecznej, ale raczej nowoczesny rolnik pracujący na większym warsztacie przemysłowo-rolniczym. Sztukę tę w zeszłym roku zdjęto z afisza teatru Słowackiego rzekomo z powodu ujemnego przedstawienia tam chłopca: bo dawniej chłopci pili a teraz nie piją“.

Szaniawski milknie. Nie dziwi mnie to. Jest człowiekiem wyjątkowo małomównym i skąpym. Ale gdy go zainteresuje przedmiot rozmowy, potrafi dość żywo formułować swoje opinie. Jest z zawodu rolnikiem i w czasie wyższych studiów w Szwajcarii zdarzyło się mu napisać okolicznościową szopkę, która znalazła żywy oddźwięk u słuchaczy. Zastanowił wówczas jej autora kontakt z widownią, żywy i bardzo bezpośredni. To spowodowało u niego wzrost zainteresowania pracą literacką, w szczególności dramatopisarską. Druga z jego sztuk „Ewa“ najpierw grana we Lwowie, później w warszawskiej „Reducie“, a napisana około 1920 roku, to według słów autora „historia pewnego szachrajstwa duchowego“. Problem jest subtelny, jak to zwykle bywa u Szaniawskiego: zazdrość nie pozwala bohaterowi sztuki na obiektywne stanowisko, każe mu postępować wbrew własnemu przekonaniu i skłonnościom. Sztuka ta zaginęła w czasie wojny, podobnie jak i inna „Krzyś“ wystawiona swego czasu w Teatrze Narodowym.

„Kiedy rodzi się we mnie nowy dramat, widzę najpierw człowieka, jakieś linie, sylwety ludzkie. Bez tekstu, bez słów. Początek „Ptaka“ to jakiś bliżej nieokreślony poryw w jakimś mieście, gdzieś, kiedyś — oto całe realia, z których wyrosła ta sztuka“.

Siedzę w pokoju u Szaniawskiego, w pokoju bez książek i wszelkich przedmiotów, które by wskazywały, że w tym mieszkaniu żyje i pracuje najznakomitszy dzisiaj dramaturg polski. W kącie — koszyk bez kwiatów, które zwiędły i zostały usunięte — echo niedawnej premiery „Dwóch teatrów“. Jerzy Szaniawski jest ofiarą niemieckich przesiedleń ludności polskiej i wypadków powstania warszawskiego. Najpierw w początkach wojny musiał się przenieść do Warszawy, bowiem miejscowość, którą zamieszkiwał, włączono do Trzeciej Rzeszy. Całą okupację spędził w Warszawie, w tym kilka miesięcy na Pawiaku. Zaledwie na parę dni przed powstaniem został zwolniony, aby w ciągu długich tygodni przeżyć jego piekło. Potem przyszedł Pruszków. Od roku mieszka w Krakowie, znosząc niedostatek a nawet i głód. W tej atmosferze ciężkich osobistych, a tak powszechnych obecnie przeżyć i przejść powstała najnowsza jego sztuka „Dwa teatry“. Jedyną osobą, która zainteresowała się nią, był Karol Adwentowicz. W ten sposób znalazła się ona w Teatrze Powszechnym im. Żołnierza Polskiego, którego scena jak i sala nie stanowią odpowiedniego otoczenia dla intymnej i pełnej skupienia dramaturgii autora „Mostu“.

„Jeszcze na parę lat przed wojną napisałem do Teatru Wyobraźni Polskiego Radia w Warszawie parę słuchowisk jak: „Zegarek“ i „W lesie“. Ten drugi utwór pt. „Matka“ zo-

stał włączony do „Dwóch teatrów“ i tworzy wraz z „Powodnią“ drugi akt. Nawet już przed wojną utwór „W lesie“ wydawał mi się częścią jakiejś większej całości, czymś jeszcze niezupełnym“.

Właściwie obie te jednoaktówki są napisane na jeden temat: jak życie dla swego dalszego biologicznego rozwoju domaga się z całą bezwzględnością ofiary od ludzi usuwając wszystkich tych, którzy mu stanęli na drodze. Przedłużenie gatunku jest pierwszym i bezwzględny postulatem życia. Nie masz tu miejsca na osobiste upodobania, wzruszenia i tęsknoty. Matka wypędza brutalnie dawną miłość swego zięcia, aby ratować męża dla córki i ojca mającemu przyjść na świat dziecku. Dziecko musi mieć ojca, chociażby on całe życie miał patrzeć przez okno na otaczający gajówkę las i żyć marzeniami na zawsze wzbronionego mu szczęścia. W „Powodni“ ramiona syna zbrojne wiosłem odepchną ciepiące się burty dłonie sędziwego ojca, aby zostało uratowane dziecko, wnuk skazanego na zagładę starca.

Jest dziwną i godną zastanowienia rzeczą, czemu Szaniawski ten właśnie problem uczynił centralnym punktem swej najnowszej sztuki. Czyżby te dwa drobne utwory były rzeczywistością małym zwierciadłem bytu ludzkiego na ziemi i jego tragicznych postulatów narzuconych człowiekowi? Jesteśmy tylko stworzeniami walczącymi o życie i jego konieczności. Oto teatr realiów, a więc przedstawienie świata w możliwie najwierniejszy, najściślejszy sposób, bez żadnych złudzeń i urojeń. Dyrektor tego teatru jest świadom swej drogi, ale jednocześnie ulega pewnym mechanicznym skłonnościom ku irracjonalności: lubi rozmawiać o tym, co się komu przysniło, notować i tłumaczyć różne sny w sposób uzasadniający je realnie. Lubi też rozmowy z autorami, którzy w swej twórczości rozwiązują wszystko przy pomocy poezji. Nie wierzy im, spiera się z nimi, odrzuca ich sztuki; ale nie umie zerwać wszystkich nici, które go z tym światem wiąże. Świat snów, świat poezji, świat marzeń, irracjonalności i niewymierności życia pociąga go i niepokoi. Nawet bierze w nim czynny udział, chociaż może z tego nie zdaje sobie sprawy — przez miłość do młodej dziewczyny. Jest to postać dramatu, której autor nie każe brać, jak się zdaje, dosłownie. Raczej muza niż kochanka, raczej poryw natchnienia i przyjazny oddech sztuki aniżeli dziewczyna bliska, przyjaciółka dyrektora teatru. Jej śmierć późniejsza pod gruzami dotkniętego katastrofą miasta — to koniec dyrektora jako artysty. Odeszła muza jego lat twórczych a marzenia o tej, której już nigdy mu okrutny los nie wróci, zbliżają go do teatru snów, przed którym tak się dawniej bronił.

Na ruinach, wśród gruzów minionego życia, dochodzą do decydującego głosu wszystkie czynniki poezji i intuicji, które w swoim gabinecie dyrektorskim traktował jako służące raczej osobistemu, psychicznemu odprężeniu, aniżeli jako konkretny teren działalności artystycznej. Okazuje się wtedy, że nawet bohaterowie dwóch przezeń wystawianych jednoaktówek są z tego niewymiernego świata, bo nie sposób realiów oddzielić od snów i marzeń, konkretnych od gry wyobraźni. To jedna całość, którą tylko racjonalizm zdolny jest oceniać jako dwie odrębne dziedziny. Ale na próżno. Bo kiedy człowiek stanie na gruzach własnego życia, jak ów dyrektor „Małego Zwierciadła“ — nowoczesny Hiob — wszystkie teorie tracą swój sens, a jedynie całość świata będzie realnością: i to co uważaliśmy za rzeczywistość i to co ocenialiśmy jako senne rojenie... Boviem są to tylko dwie strony tej samej konkretnej wartości — zwanej życiem.

„Zagadnienie realizmu — podesunąłem — jest w twórczości pana sprawą szczególnie ciekawą, jeśli chodzi o „Dwa teatry“. Wszak tam teatrowi realistycznemu został przeciwstawiony Teatr Snów...“

„Nie należy tego brać tak dosłownie — odpowiada po długim namyśle, cichym głosem Jerzy Szaniawski. Formułuje on powoli, ale bardzo precyzyjnie to co chce powiedzieć. — Ja tam nie przeciwstawiam tych dwóch koncepcji — realistycznej i wizyjnej — jako dwóch gatunków odrębnych i wzajemnie sobie przeczących. Chodzi raczej o jedną koncepcję teatru, gdzie te dwa czynniki są tylko dialektycznymi przedstawieniami tego samego zjawiska. Ani dyrektor realistycznego teatru „Małe Zwierciadło“, ani jego przeciwnik w dyskusji, dyrektor teatru „Snów“, nie są przedstawicielami dwóch odrębnych i bezwzględnie uzasadniających się światów. Każdy z nich reprezentuje połowę racji, które ze sobą połączone dają dopiero pełną i bogatą całość. Mój realizm nie kończy się tam, gdzie kończą się konkrety osiągalne zmysłami. Jedno z drugiego wynika, jedno o drugie się zająbia, obaj dyrektorzy mają swe głębokie racje, o bezwzględny zwycięstwo któregoś z nich nie ma mowy“.

„Czasami tylko — zauważam — rzeczywi-

stość, ta prawdziwa, konkretna rzeczywistość bytu ludzkiego na ziemi przerasta nawet wizję dyrektora snów, jak to jest chociażby z owymi chłopczykami, którzy z jakichś blaszanych żołnierzyków poety stali się w pewnym momencie naszej historii Atlasami dźwigającymi najwyższy ciężar historycznej Nemezis...“

Trzeci akt sztuki Szaniawskiego nabiera jakichś niezwyklej rozmiarów. Czujemy w nim echa, jakże bolesne, losu Warszawy. Tragizm stolicy może nam odsonić jeszcze szersze horyzonty większego nieszczęścia — nieszczęścia ludzkości, a jeżeli nie ludzkości to w każdym razie Europy i człowieka współczesnego, w niej zamieszkałego. Gruzy, ruiny, a wśród nich żywi wykołoficy i mary przeszłego życia. Co było przed laty tragicznym przecuciem poetów-katastrofistów, stało się teraz ponurą rzeczywistością. W ruinach przepadła na zawsze muza, wśród walących się miast pokładły się pokotem męzne drużyny walczonej młodzieży.

Trzeci akt „Dwóch teatrów“ to niewątpliwie najsztudniej napomknięcie o sprawach i wypadkach naszej niedawnej historii. Szaniawski jako Polak i jako Europejczyk, jako obywatel i jako artysta, jako pisarz i jako człowiek, pośrednik rozkopanego wybuchami bomb i ludzkim szaleństwem naszego życia stworzył prawdziwe dzieło sztuki, może najgłębsze w rzędzie wszystkich dotychczasowych swoich dzieł, bo zrodzone ze szczerzego bólu i z poczucia ogromu utraconych wartości.

Stefan Flukowski

Życie muzyczne w Krakowie

Na poranku niedzielnym w dniu 7 maja dyrygował orkiestrą Filharmonii młody kapelmistrz Edward Bury, asystent dyr. Biedziąka w Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Wybór programu świadczy o poważnych aspiracjach młodego artysty i jego dobrym smaku: IV. symfonia Beethovena, bardzo rzadko wykonywaną, powitaliśmy wszyscy z prawdziwą przyjemnością, a połączenie jej z uwerturą „Lenory“ uzasadnione jest wyraźnym związkami ideowymi i muzycznym pomiędzy obu tymi dziełami, powstałymi w tym samym (środkowym) okresie twórczości Beethovena. Jest to Beethoven, który już odnalazł siebie i zdołał się uwolnić od wpływów Haydna i Mozarta. W umiarze formalnym jest typowym klasycyzmem, którego jednak heroiczne akcenty „Lenory“ (a właściwie związanej z tą uwerturą opery „Fidelio“) pasują już na romantyka. Wynikające z takiego traktowania materiału muzycznego kontrasty dynamiczne, harmoniczne i kontrasty motywów melodycznych uwydatnił Bury bardzo trafnie. Ma się wrażenie, że jest to muzyk czujący głęboko utwór muzyczny, traktujący go z szacunkiem i pietetym, przeżywający ze skupieniem. Niektóre zwłaszcza frazy podane były bardzo pięknie, w ogóle szczególnie górują na razie jeszcze u młodego kapelmistrza nad całością, która nie zawsze miała dostatecznie jasną konstrukcję i plastyczność, tam zwłaszcza, gdzie rytm jest czynnikiem podstawowym i formotwórczym.

Jako solistka wystąpiła młoda śpiewaczka Ksenia Tarchalska, która odśpiewała przy akompaniamencie fortepianu arie z „Potęgi przeznaczenia“ Verdiego i z „Lulzy“ Charpentiera, oraz pieśń Szymanowskiego do słów Kasprzowicza „Jestem i płaczę“. Głosowo zaprezentowała się Tarchalska bardzo dobrze. Głos jej brzmiał w górę bardzo pięknie, pełno i dźwięcznie. Dużym atutem młodej śpiewaczki jest muzyczność, która poza drobnymi potknięciami, spowodowanymi prawdopodobnie trzęsieniem, pozwoliła jej odśpiewać cały program poprawnie pod względem muzycznym. Jeżeli chodzi o interpretację, to konieczna będzie w przyszłości jeszcze intensywna praca nie tylko nad stylem wykonywanych utworów, które na razie traktowane są bez należytego zróżnicowania, ale i nad większym związaniem muzyki z tekstem. Umieszczenie w programie pieśni Szymanowskiego uważam też w tej chwili za nieporozumienie, którego ofiarą zresztą padła nie tylko śpiewaczka, ale i akompaniator. O ile śpiewaczka zechce istotnie pracować w tym kierunku i ograniczyć się w przyszłości do repertuaru, nie przekraczającego jej możliwości interpretacyjnych, może dojść do znacznych osiągnięć. Akompaniował J. Gacek dyskretnie i muzykalnie (jedynie na akompaniamencie w pieśni Szymanowskiego zgodzić się nie mogę).

Rocznice 1- i 3-majowe uczcił Filharmonia krakowska koncertami symfonicznymi pod batutą W. Biedziąka. W koncercie 3-majowym wzięła udział jako solistka Natalia Hublerowa, która odegrała z klawiszami koncert fortepianowy f-moll Chopina. Podnieśliśmy należy dużą kulturę i doskonałe pianistyczne opanowanie utworu, mimo, że skłonnościom i możliwościom interpretacyjnym artystki odpowiada bardziej koncert Czajkowskiego.

W koncercie filharmonicznym w dniu 9 maja głównym ośrodkiem zainteresowania była II Symfonia Romana Palestra, której powtórzenia oczekiwaliśmy od tak dawna. Jest to niewątpliwie czołowe dzieło polskiej muzyki współczesnej i jako takie powinno wejść na stałe do programu naszych koncertów filharmonicznych. Na nim — i na utworach jego podobnych — powinna nasza publiczność uczyć się słuchać współczesnej muzyki, której kategorie estetyczne, tak różne od kategorii XIX wieku, muszą nam dopiero wejść w krew, abyśmy mogli zrozumieć i ocenić odrębne wartości tej sztuki: muzyki, która nie chce i nie zamierza być niczym innym, jak właśnie tylko muzyką, tylko pieknem arabskiej melodycznej i architektonicznej dźwiękowej. Logika tej architektury dźwiękowej, jej konsekwentne rozbudowanie zarówno w mniejszych, jak i większych i największych wymiarach, idealne zespolenie linii i barwy lub podporządkowanie barwy prawom linii melodycznej doprowadzone są u Palestra do najwyższej doskonałości. Biedziąka wykonaniem tej symfonii zdobył sobie nowy tytuł do zasług jako dyrygent Filharmonii. Wziął w utwór ten wiele pracy i uzyskał piękne wyniki. Zwłaszcza bardzo dobrze wydobyl świetne efekty instrumentalne w III części, a fuga w części ostatniej była czysta i przejrzysta w swej wspaniałej fakturze polifonicznej.

Solistą wieczoru był znany pianista i kompozytor Bolesław Woytowicz. Znany muzyk, jeden z najtęższych naszych znawców wszelkich stylów i typów faktury kompozytorskiej, pozostaje nim Woytowicz także i wtedy, gdy występuje w roli wykonawcy. Zauważa tylko należy, że wybrał tym razem koncert fortepianowy c-moll Saint-Saënsa — jest to chyba najbardziej pusta i eklektyczna muzyka, jaką wydała druga połowa XIX wieku. Dopiero w ostatniej części pokazał Woytowicz łwi pazur rasowego muzyka, a zniewolony długimi oklaskami zagrał na bis utwory Debussy'ego i Prokofiewa.

Stefania Lobaczewska

Sztuka w poszukiwaniu morału

Pośród pisarzy angielskich W. Somerset Maugham zajmuje czwarte miejsce jako literacki podatnik. W swoim czasie ustępował kroku tylko Shawowi, Garlsworthyemu oraz Kiplingowi. Na nasze pieniądze jest dziś multimiliardem. Na angielskie funty rachując, majątek jego również liczy się wielu cyframi. Siłą swego pióra Maugham przenosił się nie tylko w świat uludy, ale także raz na zawsze przeniósł się w świat inny niżeli ten, w którym się urodził, w świat finansowych potentatów. Z heroldii królewskiej zwrócono się do niego z zapytaniem czy nie zechciałby zostać lordem. Jednak obyczaj, a w Anglii obyczaj ma olbrzymią siłę ciężenia, nakazywał mu uchylić się od podobnej godności, tak jak w swoim czasie uchylił się od niej Conrad czy Garlsworthy. Dziś jest człowiekiem sędziwym, prawie że instytucją użyteczności publicznej, pracuje nadal. Ostatnio napisał powieść o nurcie religijnym. Milionom Anglików, którzy go uwielbiali, nie bez lekkiego poczucia, że jest w nim jakaś amoralna cierpkość, podobna powieść posłuży do odzyskania spokoju. Będą mieli dowód, że siła twórcza Somerset Maughama, z której czerpali tyle przyjemności, nie mogła być trująca, skoro jemu samemu przyniosła nie tylko pieniądze i w zasadzie tytuł lordowski, ale pod koniec życia nawet Boga.

Somerset Maugham jest wybornym narratorem. Tematem jego opowiadań są zawsze tacy sami Anglicy, odrzynani na zmieniającym się tle. Bywa ono trojaki. Pierwsze przedstawia salon londyński, drugie dwór na prowincji, trzecie bungalów w koloniach. Smak literatury Maughama polega właśnie na tym, że ukazuje ona absolutną angielską nieodmienność. Dla czytelników nieangielskich lektura Maughama jest pouczająca, dla czytelników angielskich pokrzepiająca. Bo imperium brytyjskie w znacznej mierze opiera się na tym, że Anglik w żadnej atmosferze nie rozkłada się. Nie wynaradawia, nic go od jego angielskich cech i obyczajów nie odpycha. Biada Anglii, gdyby było inaczej! Bez tej właściwości Anglików brytyjska wspólnota narodów gotowa byłaby się rozplynąć, tak jak w swoim czasie rozplynęły się kolonialne imprezy rzymska, arabska, hiszpańska czy portugalska, tworzone przez narody łatwiej rozpuszczające się w obcym gruncie, wskutek tego łatwiejsze do decentralizowania.

Ale Maugham ma jeszcze inne głębokie powaby dla angielskiego czytelnika. Odmalowuje on Anglików jako gatunek ludzki nie tylko dobrze wytrzymały przestrzeń, ale również jako gatunek ludzki wytrzymały na czas. Ze stronice Maughama nie odzywa się groźba. Maugham przed niczym nie ostrzega. Nie dzwoni na alarm. Z jego książek wynika, że wszystko w Anglii razem z jej dominiami jest w porządku. Garlsworthy kładł palec na pulsie Forsytów i stwierdzał, że ich tętno bije coraz bardziej nitkowato, Shaw wszystkiego w Anglii tykał się prztykiem, coraz to okazując gdzieś jakąś śmieszność i zmurszałość. Maugham liczy się do autorów tej samej klasy. Należąc jednak do pisarzy pierwszej klasy, ostrych i widzących, osądem swoim o całości ludzkich zjawisk zbliża się, a nawet — powiem — zniża się, do pisarzy drugiej klasy, owej rozrodzonej, zwłaszcza w Anglii, klasy słodkopisów, którzy o świecie odzywają się bezkrytycznie. Somerset Maugham umie w swoim dziele łączyć dwie sprzeczności — ostrość widzenia i łagodność sądu. Daje typową literaturę ludzi inteligentnych, którzy chcą mieć święty spokój.

Na zachodzie Europy już do literackiego rytuału należy, żeby pisarz, skoro uzyska w prozie reputację, zwracał się do teatru. Scena płaci więcej, praca dla niej jest szybsza. Prócz jednego Giraudoux, po takich przerzutach teatr sławy prozaikom nie przysporzył. Teatr Mauriaca, Garlsworthyego czy właśnie Somerset Maughama jest niewątpliwie teatrem na poziomie, ale w zestawieniu z naczelnym rodzajem ich twórczości to tylko jej cień. Wiadomo że jest zwłaszcza na teatrze maughamowskim, który by należał do jednego z najbardziej pustych odmian teatru, gdyby go nie ratowała pewna pikanteria, pewna kazuistyka moralna, a może po prostu pewien odrzucony szablon.

Jaki? Kończenia sztuk po bożemu! Szablon, który domaga się, aby moralność, z reguły przez cały ciąg akcji postępowana, miała na końcu swój moment, swoją chwilę rewanżu, swój happy end. W sztukach Maughama moralność takiej grzecznościowej chwili na pożegnanie nie znajduje. Maugham, który pióro swoje zaprawiał na nowelach, na rodzaju literackim pod względem moralizatorskiego zakończenia o wiele mniej wymagającym, próbuje się wymknąć konwencji teatralnej panującej na scenie. Śladami Maughama poszła niedawno pisarka angielska Dafne du Maurier w przeróbce scenicznej „Rebeka”, swojej głębszej powieści. Mąż zabija w niej żonę, poślubia inną kobietę, zbrodnia wychodzi na jaw. Życie jego wydaje się złamane, będzie musiał opuścić nową żonę i prastary dwór, który nade wszystko ukochał. Nic podobnego! Przyjaciel męża wytrząsa z rękawa okoliczność łagodzą-

cą dla zbrodni i wszystko kończy się szczęśliwie. Jak gdyby zmysłowi moralnemu widzów mogło wystarczyć to, że ostatecznie tak źle nie było.

Istnieje moralność czysta! Moralność Maughama czy du Maurier nazwałbym moralnością pocieszenia. W życie się tutaj nie miesza, ale pod względem artystycznym muszę powiedzieć, że jest to moralność słaba. Nie tylko pod względem artystycznym, ale również pod względem kasowym. „Rebeka”, o której wspomniałem wyżej, mimo znakomitej gry i różnych literackich smaczków i walorów, (zresztą sztuka zawdzięcza je głównie francuskiej adaptacji René Laporte'a) w Paryżu nie poszła. Bo widz się nieswojo czuje, kiedy wychodzi z teatru, pozostawiając na scenie grzech nieukarany. Sądzę, że jest w tym, prócz oburzenia moralnego, również — na odmianę — pewna irytacja artystyczna. Irytacja na autora, który grzech umiał wymyślić, rzecz jakże łatwą, a kary nie! Na żaden pomysł ekspiacji nie wpadł. Trudno! Trzeba się pogłowić. Sztuka to nie jest życie, żeby ludziom wszystko co najgorsze puszczała płazem.

„Życie kręci się w kółko” („Circle”) wystawione przez krakowski Stary Teatr jest właśnie taką sztuką bez normalnego czopka. Do pana Cheneya przybywają jego rodzice. Z dwu końców świata! Rozeszli się trzydzieści pięć lat temu. Przypadkiem zjeżdżają się jednego dnia. Stary pan Cheney i jego dawna żona wraz z lordem Portousem, tym, który ją kiedyś z domu męża porwał. Tymczasem młody pan Cheney też ma żonę, która pała chęcią ucieczki z domu. I która po wielu zrzecznych korowodach w sztuce ostatecznie od męża ucieka. Jej wyjazdowi błogosławi, użycza auta i schronienia stara wiarołomna para, mimo że na początku próbuje młodziutką panią odwieść od podobnego kroku. Przekonawszy się, że nie może przeszkodzić, z miłą chęcią pomaga. I na podobnym powiewaniu chusteczkami kończy się sztuka. Tylko jeszcze od Maughama finię w nos dostaje dawny mąż pani Cheney, rożacz senior, za to, że będąc taki doświadczony, chociaż marzył o tym, by mu synowa została i próbował sytuację ratować, też nic nie pomógł. Na takiej to końcowej barierze sztuka silnie się potyka. Widz opuszcza teatr z głupią miną, z tak miną, z jaką człowiek wychodzi z kryminalnego filmu, w którym detektyw zbrodniarza nie złapał.

W głównej roli kobiecej wystąpiła Mieczysława Ćwiklińska. Jej iady Katarzyna Cheney (którą mąż, ten przez nią opuszczony Clive Cheney nie ma tytułu, zważywszy jednak na fakt, że przez całe lata żyła z lordem, na afiszu „Teatru Starego” nosi ona tytuł lady), jest zupełnym arcydziełem. Przez cały czas Katarzyna się zgrywa, o swej cichej tragedii kobiety, która porzuciła swój własny dom i dziecko, trąbi ciągle, mówi rzeczy przeważnie przykre. Jedna Ćwiklińska mogła z niej uczynić istotę ludzką, której słuchaliśmy ze śmiechem i wzruszeniem, zamiast otrząsać się z odrazy. Żałować należy, że tej postaci, świetnie pomyślanej, Maugham dał właściwie mało cięty, nie ostry tekst. Katarzyna rzadko mówi rzeczy celne. Dopiero kiedy opuszczamy teatr zdajemy sobie sprawę, że w powiedzeniach Katarzyny, po których wybuchamy śmiechem, jest o wiele więcej talentu Ćwiklińskiej niż pomysłowości Maughama. Przepowiadamy sobie tekst i widzimy, że bez akcentów Ćwiklińskiej jest on żaden.

Partnerzy sekundowali tej wielkiej artystce w sposób szczęśliwy. Zwłaszcza Mierzejewski, porzucony mąż, który koniec końców nienajgorzej na tym wyszedł i teraz powściągliwie „śmieje się najlepiej, ponieważ śmieje się ostatni”. Rola swą wycieniował umiejętnie, inny w stosunku do syna, do synowej, do dawnej żony. Początkowy szok na wiadomość o przyjeździe Katarzyny trafny i dyskretny. Późniejszy ton, pełen swobody w tej dwu-znacznej pod względem towarzyskim i ludzkim sytuacji, wybrany szczęśliwie.

Wiktor Biegański z wielkim samozaparciem potrafił swego lorda Portousa. Grał go wręcz karykaturalnie. Uczynił z niego figurę zgorzkniałą i irytującą. Przy kartach złościł się przepysznie. Fulde w roli rożacza-syna — dobry. Oba pierwsze akty kończy doskonale. Amanta jego żony kreował I. Śmiałowski. Udały, zwłaszcza w ostatnim akcie, gdzie obudzić winien wątpliwość co do tego czy rzeczywiście jest gentlemanem i człowiekiem odpowiedzialnym. Na początku tej bardzo ekonomicznie napisanej sztuki oglądaliśmy przez moment J. Warneckę jako gościa państwa Cheney. Po co Maugham wprowadził ją do ich domu, nigdy się nie dowiemy.

W roli młodej pani Cheney, opuszczającej go, wystąpiła Alicja Matusiakówna. Była przekonująca i szczerą. Wszystkie psychologiczne perypetie trzeciego aktu wydobyte zostały przez nią szczęśliwie. Reżyderskie laury wieczoru zbierał Kazimierz Rudzki. Dekoracje Pronaszk i ładne i zwarte, odtwarzały wnętrze angielskie w sposób autentyczny. Natomiast fotel, o którym w sztuce tyle się mówi, autentyczny nie był.

Tadeusz Breza

Oświadczenie w sprawie teatralnej.

Teatr polski przechodzi głęboki kryzys. Ni wdając się w analizę przyczyn tego stanu, który jest niesporny, podpisani, uczestnicy zebrań literackich „Odrodzenia”, powodowani troską o przyszłość życia teatralnego i twórczości teatralnej w Polsce, uważali za swój obowiązek zastanawiać się nad właściwymi sposobami naprawy istniejącego stanu rzeczy i omawiali obszernie wszystkie zagadnienia związane z obecną sytuacją teatralną w Polsce. Po obszernej dyskusji doszliśmy do następujących zgodnych wniosków w sprawie teatralnej:

1) Teatr, jako najbardziej wielostronne zjawisko sztuki, pełni doniosłą rolę społeczno-wychowawczą. Względem na tę jego funkcję winien kierować wszystkimi poczynaniami, dotyczącymi zarówno organizacji teatralnej w Polsce, jak i kształtu artystycznego powołanych do życia placówek.

2) W obecnej chwili istnieje w pewnych miastach w Polsce nadmiar teatrów tego samego typu oraz zbyt wielka ilość teatrów prowadzonych niefachowo; ze względu na brak dostatecznej ilości kwalifikowanych pracowników teatru na stanowiskach przede wszystkim kierowniczych, reżyserów (zwłaszcza reżyserów-pedagogów) i aktorów, jest to rzecz niepożądana, przeszkadza normalnemu rozwojowi teatru i nie służy właściwej kulturze teatralnej w społeczeństwie. Należałoby zatem stworzyć ośrodki teatralnego promieniowania (zwłaszcza w Krakowie i Łodzi) i podjąć reorganizację teatrów, ustalając ich typy na a) teatry wielkiego repertuaru b) teatry repertuaru współczesnego, c) teatry eksperymentalne oraz takie teatry jak rewiewy, operetkowy, kukielkowy, dla dzieci itp.

2) Z uwagi na zaznaczony brak dostatecznej ilości aktorów i kierowników, teatry te mogłyby między poszczególnymi miastami wymieniać swoje przedstawienia lub członków zespołu.

3) Spośród istniejących obecnie czterech typów teatru najczęściej odpowiada potrzebom teatr państwowy. Z uwagi na ten stwierdzony doświadczeniem stan rzeczy winny powstać teatry państwowe co najmniej w czterech głównych ośrodkach teatralnych, lecz państwo sprawować winno nadal opiekę nad teatrami pozostałymi.

4) Szczególną opieką winien być otoczony teatr na Ziemiach Odzyskanych. We Wrocławiu, w Gdyni i w Szczecinie powinny powstać dobre teatry, prowadzone przez osoby doświadczone i wypróbowane. Teatry Polskiej centralnej powinny organizować na Ziemiach Odzyskanych występy gościnne swoich zespołów.

5) Teatry polskie w swej polityce repertuarowej i kasowej kierują się dotychczas przeważnie przesądem, że widz domaga się sztuk z najniższego repertuaru i uważają, że należy schlebiać jego instynktom. Pomijając fakt, że widz tego typu stanowi obecnie w teatrze mniejszość, i to niezbyt pokaźną, istotne zadanie teatru widzimy obecnie w wychowywaniu i związaniu z teatrem widza nowego typu, zwłaszcza widza z klasy robotniczej i chłopskiej. Większą niż dotychczas uwagę należy poświęcić również systematycznym przedstawieniom dla młodzieży szkolnej.

6) Aby umożliwić należyte pełnienie przez teatr zadań artystycznych, kierownik literacki w każdym teatrze winien mieć wpływ decydujący na kształtowanie linii repertuaru; w wielkich teatrach winna działać trybosobowa rada literacka. Kierownik literacki winien być powoływany w porozumieniu z najbliższym (miejscowym) oddziałem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Kierownictwo literackie winno utrzymywać ścisłą łączność z ośrodkami życia literackiego i artystycznego, aby teatr był również warsztatem pracy twórczej, dramatopiskarskiej i reżyserkiej literatów, okazujących zainteresowanie dla sceny.

7) Celem umożliwienia teatrom polskim spełniania ich społecznych i artystycznych zadań, należy stworzyć przy Ministerstwie Kultury i Sztuki specjalny Fundusz Teatralny, pochodzący spczą zwyczajnego budżetu Ministerstwa. O ile chodzi o formę udzielania subwencji w okresie przejściowym, uważamy za bardziej właściwe udzielanie subwencji poszczególnym teatrom na wystawienie pewnej określonej sztuki niż ogólne subwencjonowanie teatrów. Tak uniknie się szkodliwego ze wszech miar zwyczajmu skupiania aktorów przy teatrach finansowo uprzywilejowanych ze szkodą dla mniej zasobnych.

8) Kwalifikowanie artystyczne i zatwierdzanie formalne sztuk do grania winno być usprawnione i uproszczone.

9) Opieką winny być również otoczone ludowe teatry amatorskie, które mogą pełnić doniosłą rolę; powinien też powstać dobry objazdowy teatr marionetkowy.

10) Rozmnożone nadmiernie studia dramatyczne przy teatrach powinny być skupione w każdym większym ośrodku teatralnym — w jednej lub co najwyżej w dwóch szkołach dramatycznych.

* * *

Mając możliwość śledzenia życia teatralnego w Krakowie, podpisani wyrażają poza tym następujące poglądy w sprawie uzdrowienia i ulepszenia działalności teatrów krakowskich:

1) Ponieważ teatrów w Krakowie jest za dużo, teatry krakowskie stoją nie tylko wobec ideowo-artystycznego, ale i kasowego przesilenia. Można temu zaradzić przez zmniejszenie ogólnej liczby teatrów, określenie ich typu i uprawianego przez nie rodzaju teatralnego oraz przez podniesienie ich poziomu artystycznego.

2) Głównym teatrem Krakowa jest i pozostanie teatr im. Słowackiego, jako teatr tzw. wielkiego repertuaru, zarówno dawniejszego jak współczesnego. W Krakowie również działać winien: a) teatr poświęcony repertuariowi nowoczesnemu, polskiemu i zagranicznemu; b) teatr eksperymentalny, będący szkołą nowego autora, aktora i reżysera; c) teatr powszechny, o kulturalnym repertuarze popularnym, wychowujący nowego widza; d) teatr komediowo-muzyczny; e) teatr dla dzieci, który można by połączyć z teatrem lalek. Szczególnie ważne jest utrzymanie teatrów, wymienionych w punkcie b), c) i e).

3) Konieczne jest ściśle i oparte o określone formy prawne porozumiewanie się kierownictw poszczególnych teatrów między sobą.

4) Niezbędne jest nawiązanie przez kierownictwa teatrów bliższej niż dotychczas łączności z prasą i organizacjami literackimi.

5) Ze względu na doniosłą rolę społeczną należą się teatrom najlepsze sale, jakimi miasto dysponuje. Trzeba zachować dla celów teatralnych obie sale Starego Teatru oraz przywrócić teatrowi salę kinoteatru „Scala”.

Karol Adwentowicz, Stanisław Witold Balicki, Wiktor Biegański, Zbigniew Bieńkowski, Jerzy Bober, Maksymilian M. Borwicz, Jerzy Broszkiewicz, Jerzy Ronard Bujański, Halina Maria Dąbrowska, Kornel Filipowicz, Stefan Flukowski, Krystyna Grzybowska, Marcelina Grabowska, Tadeusz Holuj, Maria Jarochońska, Jadwiga Kozłowska, Tadeusz Kwiatkowski, Karol Kuryluk, Maria Kuryluk, Zygmunt Leśnodorski, Adam Marczyński, Wilhelm Mach, Adam Mauersberger, Zdzisław Nardelli, Kazimierz Olszewski, Stefan Otwinowski, Adam Polewka, Marian Promiński, Andrzej Pronaszk, Julian Przyboś, Tadeusz Rózewicz, Józef Sieradzki, Maria Szczepańska, J. A. Szczepański, Anna Świrszczyńska, Mieczysław Weyman, Helena Wielowiejska, Witold Wirpsza, Jan Wiktor, Julian Wołoszynowski, Kazimierz Wyka, Henryk Vogler, Jerzy Zagórski.

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości 100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w maszynopisie na ręce jury.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia”:

Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Łempicki, Kazimierz Wyka.

Wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres redakcji »Odrodzenia«: Kraków, Basztowa 15, m. 8.

„Oryginalny wykład” literatury polskiej

Grzegorz Nawarra, wizytator szkół, wydał podręcznik pt.: „Literatura polska oraz historia języka polskiego w zarysie” (Chorzów 1946, str. 95 i 3 nl.)

Ze wstępu dowiadujemy się, że autor pragnie spełnić „rolę dobrego przyjaciela młodzieży i nauczyciela”, a język polski „treścią i formą ma spolonizować rozum, serce i wolę młodzieży, a swym majestatem ma wnieść Naród na wyżyny kultu języka narodowego i przygotować epokę cywilizacji polskiej w Europie”, wówczas młodzież „pójdzie na połów okoliczności tworzenia epoki polonizmu w Europie”. Ten szumny i bałamutny wstęp, mimo zakończenia, w którym czytamy zapewnienie autora, że służy „z dumą i radością i z pożytkiem dla idei demokracji”, niepokoi czytelnika i swym sensem i stylem. Załączona „Recenzja” podręcznika, pióra dr Janiny Królińskiej, zapewniająca, że „Literatura Polska wiz. Grzegorza Nawarry jest sumiennie opracowanym a oryginalnym wykładem” i że „spełni niewątpliwie rolę pozytywną pomocy naukowej w powojennej szkole” nie uspokaja złych przeczuć. W miarę lektury ogarnia czytelnika napróżd „śmiesz pusty, a potem litość i trwoga”.

Fatalna korekta pozwala część błędów uznać za przeoczenia. Domyślami się jednak, że np. Daszyński trzeba czytać Gaszyński, Młaczko jak Klaczko, a Bierzyński jak Wierzyński. Gorzej bywa, gdy Nawarra zmienia imiona i tak np. Ludwik Morstin otrzymał nagle imię Lucjan, a prof. Kazimierz Nitsch — Karol. Już za wyraźne błędy przyjdzie uznać zachwyty Nawarry nad „cudnymi opisami Litwy” w powieści ukraińskiej Malczewskiego, lub przypisywanie Krasickiemu „serca nikczemnego”.

Najwięcej jednak razi i bawi dęta megalomania narodowa, która każe „wizytatorowi szkół” pisać o wszystkich zjawiskach z bezkrytycznym entuzjazmem i stylem dziwnie napuszonym. Wmawia się więc w ucznia, że „na myśli lechicko-polskiej wyhodowała się wielka karta wolności angielskiej — z niej z biegiem Dunaju karmił się Węgier, mężniał Rusin, stykając się z Chrobacją wschodnią, oraz kształcił się Litwin”. Nasza „preliteratura służyła idei chrześcijaństwa”, a w Europie „świat słowiański został przed 3500 laty (ustąpienie lodowca) obdarowany niezwykłą misją bożo-człowieczą”. Oczywiście w tej atmosferze sztucznego kanonizowania literatury polskiej dojrzejawia i sądy krytyka o poszczególnych pisarzach. Długosz zostaje mianowany „najznakomitszym pisarzem Europy”, Ostroróg „pierwszym w Europie pisarzem demokracją”, Modrzewski „najszlachetniejszym myślicielem na przestrzeni wieków”, Skarga „najpotężniejszym XVI w. głosem” („Znajomość gruntowna „Kazań” pozostanie dyplomem miana Polaka”). Naruszewicz „nieśmiertelne wyżyny wziął w posiadanie”, „Maria” Malczewskiego, o której sam krytyk nie wie nawet tyle, że akcja jej rozgrywa się na Ukrainie, „jest to arcydzieło najdoskonalsze w rodzimej i wszechświatowej literaturze”, Krasiński to znów „najwyższy duch w galerii poetów świata”, a Sienkiewicz „zdołał nieśmiertelne miejsce na Parnasie najwyższych(!) powieściopisarzy”.

Nawarra nie tylko rodzi na prawo i lewo najnowsze dyplomy, ale również chowa omawianych autorów z wyszukaną wprost pompą. Mickiewicz „wrócił na ojczyste zagony wawelskie”, Słowacki „poszedł monarszą drogą w krainę duchów”, natomiast Kraszewski udał się „na wieczny spoczynek generalski po takim trudzie życia”. Czasami styl autora jest chyba świadomie humorystyczny, jeśli zdobywa się na takie perełki: „pisarze, jak lawina, posuwają się w kierunku oświaty społeczeństwa”, „rozbiorycy z furją rzucili się do ataku na III cz. Dziadów”, Madzia Prusa wzniosła się „do przedsmaku bram nieba”, „obok powieści autor spełnia urząd kuratora” itd.

Najwięcej podobał mi się zachwyt Nawarry nad „Chłopami” Reymonta. Wyraża go krytyk w tych słowach: „Natura, jak w naszej rzeczywistości geograficznej i klimatycznej — zawsze słodka, ot, nasza, cacana, nawet wtedy, gdy niebo iskry się i pipruny wał...” Nowością w powieści to gwara chłopska od brzegu do brzegu”. Można by cytować bez końca Nawarrę, tyle tu „oryginalności”. We wstępie usprawiedliwia się krytyk: „Serce i wola są ograniczone możliwościami finansowymi młodzieży. Stąd redukcja podręcznika”. Trudno sobie wprost wyobrazić, co by się stało, gdyby te przynajmniej hamulce nie działały. Autor jest bowiem bardzo skłonny do pisania.

Umieszczony na końcu podręcznika spis dzieł Nawarry, które wyszły drukiem „pod rodzimym nazwiskiem lub pseudonimem”, obejmuje 7 tomów nowel, 6 powieści, 15 pozycji „naukowych”, 2 sztuki, 6 pozycji publicystyki, 8 tomów poezji, a w rękopisie czeka jeszcze 12 nowości! Tamtych pozycji nie znam, ale „Literatura polska” raczej nie zachęca do ich czytania.

Stefan Papée

Brak diariusza kultury z „okresu lubelskiego” (sierpień 1944 — styczeń 1945) zużoża nie tylko statystykę o pewną liczbę wydarzeń artystycznych i naukowych. Brak ten sprawia, iż linia współczesnej polityki kulturalnej nie jest dostatecznie wyraźna. Wynotowane drobniaczko przejawy życia kulturalnego w roku 1945 mogą sprawiać wrażenie faktów oderwanych, nie związanych z ogólnym procesem przemian politycznych i ustrojowych. Łączność ta wystąpić dopiero



Wiceprezydent KRN Stanisław Szwalbe wśród profesorów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie

może w pełni, gdy ukazane zostaną pierwsze kroki sztuki i nauki po odzyskaniu niepodległości.

Wtedy gdy Wisła dzieliła kraj na wolny i okupowany, gdy nie do przezwyciężenia trudności aprowizacyjne, komunikacyjne i wszystkie inne, jakie tylko można sobie wyobrazić, absorbowali rząd i życie każdego obywatela, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego nadał sprawom kultury nowy sens w naszej historii. I nie tylko sam fakt utworzenia Ministerstwa Kultury i Sztuki jest wymowny. Nieomal każdy przejaw życia kulturalnego był manifestacją nowego stosunku państwa wobec sztuki.

Już wtedy, w czasie dojrzwania „rewolucji łagodnej”, sprawom sztuki nadano sens wieku męskiego. Nie było w ogóle okresu wulgaryzacji i pomiatania wartościami istotnymi w imię demagogii i popularności. Niech zaświadcza wydane wówczas z zasiłku ministerstwa książki, poezje, od których piękniejsze jeszcze się dotychczas nie ukazały w Polsce.

Przez te półtora roku, które minęło od Lublina, my, którzyśmy przez Lublin przeszli, mieliśmy powody do rozgoryczenia. Nieuregulowane wciąż pozycje artystycznych związków zawodowych, brak planowej opieki nad dziedzinami sztuki, które ze względu na swój charakter wymagają szczególnych względów i... nie o to jednak teraz chodzi. I my również winniśmy zdobyć się na trudny obiektywizm i zrozumienie dla sytuacji ogólnej. Bo najważniejszą sprawą jest to, czy lubelski kierunek polityki kulturalnej nadal obowiązuje. Czy możemy być pewni, że po okresie trudności naturalnych, po opanowaniu całego terenu kultury i związaniu go organizacyjnym, demokratycznym rządem Rzeczypospolitej przystąpi do realizacji intencji PKWN?

Symptomy skłaniają do optymizmu.

Ufundowanie nagród artystycznych. I więcej: nagrodzenie przeważnie dzieł nie schlebających gustowi publiczności, lecz dzieł, które wrażliwość artystyczną i smak kształcą.

I co jest może najważniejsze: uznanie 1 maja, święta pracy, za manifestację o charakterze kulturalnym przede wszystkim.

Lecz nie nie przekonywa bardziej o kontynuacji przez Rząd Jedności Narodowej służnej polityki kulturalnej PKWN jak manifestacja, która odbyła się 2 maja w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Oficjalne odwiedzin wiceprezydenta KRN, Stanisława Szwalbego, w uczelni posiadającej najbardziej czysty, bezinteresowny życiowo stosunek do sztuki, są wyrazem pojmowania przez rząd istotnego sensu problematyki kulturalnej.

Powszechnie wiadomo, że malarstwo jest tą dziedziną sztuki, która wymaga szczególnie troskliwej opieki państwa. W żadnej innej dziedzinie demagogia nie wywołała tak wielkich zniszczeń, których pokolenia nie będą mogły odrobić. Powszechnie wiadomo, jak gust naszej publiczności jest — jeśli chodzi o plastykę — niewyrobinny. Nieliczne

i nie najlepiej wyposażone muzea, a przy tym nieprzyzwyczajenie publiczności do ich powszechnego zwiedzania — sprawia, że dla większości cikliwie i sentymentalne landszafty są ideałem piękna. Zdanie losu malarstwa polskiego na gust publiczny oznacza rezygnację z wychowania mas i utrzymanie ich na najniższym artystycznym poziomie. A właśnie wzruszenie plastyczne warunkuje skalę doznań artystycznych w ogóle. Pozbawienie malarstwa opieki państwowej oznacza ww

danie go na łup nielicznych snobów, a tym samym dalszą izolację społeczną.

W okresie lubelskim plastykę otoczono słusznie najbardziej troskliwą opieką. Ani pisarzy, ani muzyków nie spotykały wówczas równie efektywne wyróżnienia. Inauguracja domu plastyków w Łańcuchowie odbyła się z udziałem premiera rządu. I to właśnie było przejawem słusznego stosunku do spraw kultury. Sztuka najtrudniejsza, najbardziej niepopularna, najmniej rentowna bezpośrednio wymaga największych względów.

Odwiedziny wiceprezydenta Szwalbego w krakowskiej Akademii mają tym większe znaczenie, że Akademia krakowska jest czołową i najbardziej postępową artystycznie uczelnią tego typu w Polsce.

„My wiemy, że Akademia reprezentuje najbardziej postępowe idee. To umożliwi jej, by była ważnym czynnikiem w odbudowie kraju”. Oświadczenie wiceprezydenta KRN stało się dowolnością, z jaką interpretuje się stanowisko rządu wobec sztuki. A słowa rektora Akademii Eugeniusza Eibischa każdy świądomy artysta, bez względu na gatunek, który uprawia, może we własnym imieniu powtórzyć:

„Gdyście rządy objęli, uroczyste oświadczyliście, że sztukę bierzecie pod swoją opiekę, świadomi doniosłości jej roli. A że żyjemy w poszukiwaniu nowych, lepszych dla życia form, w momencie trudnym, wolę waszą nie zawsze po waszej myśli, sądzę, rozumiano. Stąd pomysły niebezpieczne, by tworzyć sztukę w wydaniu popularnym, na dziś.

Każda wielka sztuka wyrażała i współtworzyła współczesność. Zawsze jednak polegała ona na największym wysiłku. Nigdy na rezygnacji.

Naszym pragnieniem jest upowszechnić sztukę, to znaczy wszystkich wychować tak, by rzetelne wzruszenia artystyczne były im niezbędne do życia potrzebne”.

Nam wszystkim, ludziom sztuki, wolno, spodziewam się, manifestację w Akademii krakowskiej uważać za interwencję czynnika państwowego o znaczeniu jak najbardziej szerokim.

Sprawy interesujące szczególnie plastyków omówione były w dyskusji szczegółowej. Poprawa bytu materialnego studiujących. Umocnienie absolwentom wybitnie utalentowanym wyjazdów za granicę (dla malarzy jest to po prostu niezbędne). Utworzenie dyplomu specjalnego, uprawniającego zdolnego absolwenta do wstąpienia do Związku Zawodowego Plastyków i inne.

Najważniejszy jednak pozostanie sam fakt wznowienia bezpośrednich stosunków między czynnikiem państwowym a sztuką. To pozwala spodziewać się, że sprawa słusznego umiejscowienia w życiu społecznym sztuki i jej twórców znów się aktualizuje. Słowa wiceprezydenta Szwalbego, że pragnie być pośrednikiem między rządem a Akademią, rozumiemy nieco szerzej, przypisując im w ogóle intencję odnowienia Lublina.

zb

Kronika francuska

Bank w domu Prousta. W kamienicy przy bulwarze Malesherbes, gdzie niegdyś żył Marcel Proust ze swymi rodzicami, mieści się dziś bank Huberzac. Przeciwnik literackim pesymizmowi. Rene Jouglet występuje w „Nouvelles Littéraires” przeciw panującej wśród francuskiej młodzieży literackiej — modzie na pesymizm. „Obecnie, gdy młodość moja jest już ode mnie daleko!” — pisze — „radzą się mnie młodzi pisarze-debutanci (po tym się poznaje, że się już nie jest młodym), pisarze pełni temperamentu i fizycznego zdrowia; uderza mnie, ile pesymizmu zawierają przynieszone przez tych młodych do budowania piękła i rujnowania kraju”.

O Mickiewiczu. „Nouvelles Littéraires” przynoszą obszerny artykuł Edwarda Krakowskiego o Mickiewiczu. Autor omawia głównie relacje poety z Puszkinem i innymi pisarzami rosyjskimi.

Najpopularniejsi we Francji pisarze amerykańscy. Z pisarzy amerykańskich najwyżej są cenieni przez czytelników francuskich: Faulkner, Hemingway, Steinbeck, Doss Passos i Bromfield.

„Letryści”. We Francji powstała nowa grupa młodzieży literackiej: „letryści”. Chcą oni pomnożyć alfabet, konstruować „poematy muzyczne” i wyrażać w nich szczęśliwą miłość lub mistyczny niepokój.

Na temat poezji. Roger Caillois wydał interesującą książkę pt. „Les Impostures de la Poésie”, gdzie zaprzecza mistycznemu i antyracjonalnemu pojmowaniu istoty poezji. „Inspiracja poetycka jest owocem pracy ludzkiej i końcowym etapem długiego procesu myślowego... Poeta nie jest nigdy obdarzony natchnieniem — poza granicami swego talentu”. Caillois występuje szczególnie ostro przeciw teorii Poëgo, gdyż jego „Istota poezji” w przekładzie Bellangera ukazała się właśnie we Francji. Uzupełniając wywody Caillois, Maurice Nadeau wypowiada w „Gavroche” pogląd, że poezja jest rozdziałem rakiet, oświełającej nasze życie codzienne i epokę, w której działamy.

Nagrodę Valéry'ego ufundowano we Francji, w kwocie 50 000 franków. Ma ją otrzymać najzdolniejszy poeta — słuchacz uniwersytetu.

Nagroda dla 17-letniej pisarki. Wnuczka słynnego krytyka Sarcey'a, a siostrzenica Piotra Brissona, Martine Rouchaud-Brissou, 17-letnia dziewczyna, zdobyła niespodziewanie pierwszą nagrodę na konkursie Stowarzyszenia Pisarzy Francuskich. W związku z tym jedno z pism przytacza zabawne powiedzenie członka Akademii Francuskiej, Estaunié, który sam został pisarzem... w 60 roku życia: „Sławę literacką trzeba poznać do 20 roku życia. Potem... uważa się to za zjawisko normalne”.

Odkryte listy Stendhala. W okolicach Neapolu odkryto 200 nieznanych listów Stendhala i pewną liczbę książek, zaopatrzonych w jego własnoręczne notatki. Pamiątki te są własnością spadkobierców dozorcy domu, w którym Stendhal niegdyś mieszkał. Zdając sobie widocznie sprawę z wartości tych dokumentów, spadkobiercy zażądali za odstąpienie listów horendalnej sumy 2 milionów dolarów!

„Pisarze inteligentni”. Na dzwiczny pomysł wpadł we Francji Edmund Buchet. Wydał on w firmie „Correa” książkę „Inteligentni pisarze XX wieku”. Czy znaczy to, że innych uważa za głupców? Ciekawe byłoby, jaki jest w tej książce dobór autorów. Przypomina się następującą anegdotą: jakiś generał austriacki przedłożył Franciszkowi Józefowi raport z dopiskiem „Tylko głupiec może w to nie uwierzyć”. — „Ja wierzę” — odpowiedział cesarz.

Książka weterana. Nestor literatury francuskiej, J. H. Rosny-Jeune, wydał nową książkę pt. „Los marynara Lapaille”.

Nagroda odrodzenia. Nagrodę „Odrodzenia Francji”, w wysokości 50 000 franków postanowiono przyznawać dziełu, uwydatniającemu wartości tradycyjne Francji. W jury znajdują się: Duhamel, Daniel Rops, Van der Meersch, Madajac i J. Bernard (autor głośnej książki o obozie koncentracyjnym niemieckim dla Żydów francuskich).

O Hiobie. Fryd. Lefèvre napisał podczas okupacji książkę pt. „Obrazy biblijne” („Images bibliques”), gdzie powraca do problemu biblijnego Hioba. Zdumiewająca analogia tematu z „Mężem doskonałym” Zawieskiego!

Stowarzyszenie intelektualistów włoskich powstało w Paryżu. Jako cel postawiło sobie przywrócenie duchowej wymiany między Italią a Francją. Na czele stoją: Buffini, Lemmi i Tacchini.

Pisarz-bohater. Rozstrzelany przez Niemców pisarz francuski, Jean Prévozt, został pośmiertnie odznaczony Legią Honorową. Brał on udział w Ruchu Oporu zbrojnego od stycznia 1942 roku, zorganizował partyzantkę na południu, brał czynny udział w zwycięstwach 1944 roku. Przykładem swoim zachęcił wielu młodych. Złapany przez Niemców, próbował zorganizować zbiorową ucieczkę z więzienia; niestety próba się nie udała — i zakończyła rozstrzelaniem Prévozta. Także i syn pisarza, Michal, brał udział w walce.

Krytyk teatralny — geografem. Wyborny francuski krytyk teatralny, Henri Bidou, dał dowód szerokości swoich zainteresowań, publikując dobrą książkę o Afryce. Przedstawia w niej strukturę fizyczną kontynentu afrykańskiego, historię odkryć afrykańskich, oraz obecny stan polityczny i gospodarczy „czarnego lądu”.

Wspomnienie b. prezydenta. Były prezydent Trzeciej Republiki francuskiej, Albert Lebrun, aresztowany i wywieziony do Niemiec przez hitlerowców, wydał o sobie swe wspomnienia. Krytyka chwali obiektywizm tej książki.

Udział inteligencji w wojnie. Na śmiałość i ciekawą myśl wpadł we Francji Louis Parrot. Wydał on książkę pt. „Udział inteligencji w wojnie”, z podtytułem: „Panorama myśli francuskiej w okresie konspiracji”. Pożądane byłoby także i u nas podobne wydanie.

Walka miasteczka z lotniskiem. Gorąca dyskusja toczy się we Francji na temat świeżo przełożonej nowej powieści angielskiej „Aerodrom” Rexa Warrnera. Jedni krytycy uważają tę powieść za arcydzieło, inni za nieudane naśladowanie Kafki i Huxleya. Tematem jej jest walka grupy lotników (symbolizujących barbarzyńców i autorytatywny kult techniki) — z humanistyczną tradycją starego miasteczka. Wskutek wycofania się 2 lotników z obozu technokratycznego, lotnisko na razie przegrywa. Autor daje jednak do zrozumienia, że nie jest to klęska definitywna.

Sekretarzami Stowarzyszenia Pisarzy Francuskich zostali: Aragon, Eluard, Debü Bridel, Vildrac i Pilsnier.

Francja dobrze wartościuje pisarzy angielskich. Dwaj młodzi pisarze angielscy zarzucili wydawcom francuskim, że nie zawsze publikują najlepsze dzieła współczesnej literatury brytyjskiej. Tygodnik francuski „Carrefour” występuje w obronie tych wydawców, podnosząc że w okresie ostatnich 20 lat opublikowano we Francji: Lawrence'a, Virginie Woolf, A. Huxleya, E. M. Forstera, Joyce'a, Baringa, Sackville West, Mary Webb, Katarzynę Mansfield, Charlesa Morgana, J. B. Priestleya itd. Zdarzało się nawet czasem, że Francja zwracała Anglikom uwagę na niedocenione przez nich samych talenty pisarskie, tak np. było z panią Rosamond Lehman, której nikt prawie nie czytał na wspomn brytyjskich — póki nie zasygnęła w Paryżu.

2 antologie poetów-więźniów. Już w czasach okupacyjnych ukazała się we Francji konspiracyjna antologia „Poètes prisonniers” (pierwszy tom: 1943, drugi: 1944). Obecnie wyszła książka „Pisarze w więzieniu” („Ecrivains en prison”) ze słowem wstępem Gabriela Andisio, który pisze o słownym braterstwie („W więzieniach i obozach słowo „bibli” było w pełni uzasadnione”). Antologia ta zawiera wiersze Jean Paulhana, Max Jacoba, Roberta Desnos, Jacques Decour, R. P. Maydieu, Stan. Fumet, Gabriela Péri.

Nowe poezje francuskie. Ukazały się nowe tomy poetów francuskich: Patrice de la Tour du Pin („Deux chroniques intérieures”), Piotra Emmanuel („Liberté guide nos pas”) i Paul Eluarda.

Specjalne antologie poezji francuskiej dla kontynentu amerykańskiego ukazały się nakładem „Poésie 46”.

wa